

Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzystojne, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

CENA 6,66 zł w tym 8% VAT NR 26 (1710) 30 czerwca – 6 lipca 2023

nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237



ilust. KRZYSZTOF OLEJNIK



nie@redakcja.nie.com.pl www.tygodniknie.pl Tygodnik NIE Tygodnik NIE

TYDZIEŃ Z GŁOWY

- Putin rządzi w Rosji 23 lata, pucz przeciwko Putinowi trwał jakieś 23 godziny...
- Kucharz Putina Jewgienij Prigożyn przekonuje, że jego weekendowy wyskok nie miał na celu obalenia Putina, tylko ocalenie Grupy Wagnera.
- Rosyjska służba bezpieczeństwa umarza sprawy karne wagnerowców. Jak podano w uzasadnieniu, „uczestnicy zaprzestali działań bezpośrednio zmierzających do popełnienia przestępstwa”.
- Najpopularniejszym efektem tzw. puczu jest wszechobecny kac. Jednych łeb napierdala po szampanie, drugich po sznapsie.
- Wypowiedź prezydenta Polski: „Pucz jest wewnętrzną sprawą Rosji” oraz zdjęcia z przebiegu obrad Biura Bezpieczeństwa Narodowego ostatecznie przekonały nas, że jak coś na Polskę jebnie, to pozostaje już tylko modlitwa do NMP.
- CNN podało, że USA apelowały do Ukrainy, aby nie wykorzystywała puczu jako osłony swoich ataków. Przekaz brzmiał „nie bujajcie tą łodzią”. Jednocześnie dyplomaci amerykańscy dostali wskazówkę, aby powstrzymać się od komentowania puczu, póki trwa.
- Co do łodzi, a nawet transatlantyków... Fatalnie skończyła się wycieczka „Titan” do „Titanica”. Jak się okazuje, milionerzy nie są nieśmiertelni, co powinno załamać wszelkich dobrokiewiczów z wielkimi nadziejami. „Titan” impłodował niedługo po zanurzeniu, co odnotowały wojskowe sejsmografy. Tymczasem przez kilka następnych dni lud miast i wsi klikał, robiąc popularnym portalem zasięgi, i wykręcał sobie paluszki z niepokoju o arystokrację pieniędzy, która utknęła w nieświeżym pomieszczeniu.
- Turysto, zastanów się, co robisz! Nawet prędko odnaleziona załoga „Titan” (w jednym kawalku) wymagałaby długotrwałej dekompresji. Po wtóre, na świecie są trzy jednostki, które mogłyby podjąć akcję ratunkową na takiej głębokości – jedna należy do UK, dwie do Rosji.
- Król Karol III zadebiutował na kanale YouTube, na którym promuje treści związane z ochroną klimatu. Zwrócił się tam z odezwą do ludu: „Wciąż jest dla nas prawdziwa nadzieja. Musimy po prostu zacząć wspólnie działać i pamiętać, że to właśnie natura trzyma nas przy życiu”. Niby racja, sęk w tym, że Karol III zna układ swojego drzewa genealogicznego co najmniej do wczesnego średniowiecza, a przeciętny Kowalski nie wie, jak miała na imię jego prababka. A idąc dalej tym tropem – 74-letni Karol III pragnie, aby jego dynastia trwała, a 20-letni Kowalski pragnie, aby nie musiał zmieniać roboty aż do emerytury. Plus Karol ma karetę, a Kowalski chce mieć dwa poniemieckie karawany zwane umownie samochodami. Byt rodzi świadomość!
- Premier Morawiecki karawanami nie jeździ, a i tak odnotowaliśmy kolejny wypadek z udziałem kolumny rządowej i Bogu ducha winnego wyborcy czy raczej wyborczyni z nieletnim przychówkiem.
- Posel Konfy, niejaki Konrad Szczepan Berkowicz, oznajmił, że Konfederacja zamierza wprowadzić bon zdrowotny o wartości 4340 zł. Berkowicz zauważył, że jeśli ktoś potrzebuje kosztowniejszego leczenia, „to może się ubezpieczyć, bo każdy jest kowalem swojego losu”. Nie wiemy, czy poseł Konrad jest kowalem, ale na pewno przebywał w okolicach kuźni, gdzie trzasnął głową o kowadło.
- Trzecia droga, czyli Polska 2050 & PSL nęcą wyborców obietnicą zaprzestania budowy Centralnego Portu Komunikacyjnego. Zaoszczędzone pieniądze miałyby posłużyć do usprawnienia systemu usług państwowych.
- Ruszyła lustracja 40 tys. urzędników państwowych. Przełożeni mają tydzień na przekazanie IPN nazwisk pracowników urodzonych przed 1 sierpnia 1972 r. IPN ma pięć miesięcy na pogrzebanie im w życiorysach. Sami zaś pracownicy w ciągu miesiąca mają złożyć oświadczenie lustracyjne. Jeśli tego nie zrobią albo potwierdzą w nim współpracę ze służbami PRL, w terminie dwóch tygodni zostaną zwolnieni.
- W najbliższych dniach spodziewane są upały, gradobicia i roszady w rządzie. PiS ma problem z pomniejszych pisiakami, którzy zamiast angażować się w kampanię, niczym Karol III w klimat, próbują zabezpieczyć byt jak szczyry na „Titanicu” po jebnięciu w górę lodową.

Z URNY URBANA

Dziś fragmenty felietonu Urbana z listopada 1992 r., z okresu burzliwej dyskusji na temat aborcji (zakończonych uchwaleniem w kolejnym roku ustawy aborcyjnej). Nie o aborcję tu jednak chodzi – Urban słusznie już wtedy wskazywał, że spór idzie o znacznie większą stawkę.

Kościół w pułapce

Kler i jego reprezentacja – ZChN, fałszują istotę sporu o aborcję, kiedy mówią, że oni są za ochroną ludzkiego życia, a antyklerykałowie przeciw.

Im sroższe Kościół katolicki wymusi prawa antyskrobankowe, ostrzejszą cenzurę telewizyjną, im bardziej wlezie ludziom na kark, tym więcej się ucieszą. Doprowadzi to bowiem do jeszcze szerszego rozlania się antyklerykalnych niechęci, a więc do pomyślnych skutków politycznych. Już teraz, cokolwiek stanie się z ustawą antyaborcyjną, stroną przegraną w tej próbie sił będzie kler i jego szef, papież, będący w Polsce wciąż jeszcze dominującym autorytetem lokalnym. Jeżeli teraz lub w przyszłości odbędzie się referendum o karaniu za aborty i Kościół katolicki je przegra, pryśnie mit o polskim narodzie katolickim i dominacji „chrześcijańskich wartości”, a pozycja kleru zostanie nadszarpnięta na każdym szczeblu aż po parafie i władze gminne.

Jeżeli Kościół katolicki wygra referendum, będzie musiał w poprzedzającej je kampanii użyć takiego nacisku, że reakcją stanie się ogromny wzrost nastrojów przeciwkościelnych. Ruch antyklerykalny uformuje się zaś jako potężna siła.

Jeżeli Kościół katolicki wbrew opinii prawie trzech czwartych ludności nie dopuści do referendum, znajdzie się w tej samej sytuacji politycznej co PZPR za-

wierająca kontrakt wyborczy przy okrągłym stole: okaże, że nie ma poparcia większości i stanowi potęgę schyłkową. Przy tym odsłoni się jako wróg demokratycznego samostanowienia. Te koszty już zresztą poniósł. Gdy zaś kary za aborcję będą uchwalone po myśli Kościoła katolickiego, sprawa ta wkrótce powróci i doprowadzi do przyszłej spektakularnej porażki katabasów.

Cokolwiek się zdarzy w wyniku sporu o aborcję, 50 proc. lub więcej Polaków uświadomi sobie swoje antyklerykalne nastawienie, a wielka liczba ludności będzie się organizować na tej płaszczyźnie. Po co Kościółowi ta awantura i próba sił? Gdyby naprawdę popadł w taki dogmatyczny fanatyzm, że zależałoby mu na karaniu aborcji, mógł łatwo i po cichu załatwić sprawę np. w 1988 r. z naszym „komunistycznym” rządem za byle jaką obietnicę politycznego wsparcia.

Kler zagonił siebie w polityczną pułapkę, ponieważ zapadł na typową polską chorobę, która zgubiła Gomułkę, Gierka itd. Polega ona na przypisywaniu sobie siły i wpływu na społeczeństwo w rzeczywistości już utraconych. W swej wyniosłej arogancji kler mniema, że posiada jeszcze rząd dusz na tę skalę co w roku 1980 czy w 1987.

Gra toczy się oczywiście nie o aborcję, ale o władzę nad Polską. Historyczny błąd

Kościół katolickiego polega zaś na nieobliczalnym spowodowaniu próby sił i rzuceniu na szalę swego autorytetu w momencie, kiedy pozycja kleru stała się słabsza, już nadszarpnięta.

W obecnej chwili, kiedy kler powinien dążyć do zamazania zakresu swojej potęgi, wywołuje on wyrazisty podział społeczeństwa na dwa obozy. Powoduje tym posunięciem to, że do świadomości młodszej i bardziej wykształconej miejskiej większości dotrze nowa samoświadomość: przekonanie tych środowisk, że plasują się w obozie antagonistycznym wobec polityki ludzi w sutannach.

Kler sam, przez nikogo niepoganiany, zapędza siebie do getta złożonego z czerni parafialnej, dewotek, bezradnych starców, partii nierzeczonych.

Na zewnątrz, z różnych przyczyn, przeciw polskiej hierarchii katolickiej jest Europa Zachodnia i Ameryka, Rosja, Ukraina, Białoruś i Litwa. Przegląd sił wskazuje na to, że polski Kościół katolicki zrobił, co mógł, aby doprowadzić się do takiej sytuacji, że liczyć już może tylko na siły nadprzyrodzone. Kler wie doskonale, że to dla niego bardzo niedobre.

URBAN

PRASA ŚNIADANIOWA

- Abp Gądecki** orzekł, że katolickie media powinny wyprzedzać fakty. Wiadomości dnia: jutro zatonie łódź podwodna, zginie 11 osób.
- Ryszard Terlecki** powiedział, że Bruksela chce uczynić z Polski Syberię dla nielegalnych imigrantów. Prawda, Polska jest katolicką wieczną zmarłina.
- Jarosław Sellin** poskarżył się, że mamy najgorszą antypaństwową opozycję w całej Europie. Czekamy, aż PiS pokaże, jak być najlepszą opozycją.
- Radio Maryja** ostrzega, że botoks infiltruje komórki mózgowe. Z odrobiną botoksu w czole Jezus Frasobliwy wyglądałby na bardziej zrelaksowanego.
- Donald Tusk** zapewnił, że rządy PiS-u to jest tylko krótki przykry incydent. Polska puściła baka z niespodzianką.
- Jarosław Kaczyński** zauważył, że niemalże na każdym rogu w Warszawie można załatwić aborcję. Jasne, w każdej Żabce dorzucają aborcję gratis do hot doga.

MARTA M.

LISTONOSZ DONIOŚĆ

Polska geografia

Obejrzałem w TV obrazki ze zmiany oznakowań drogowych Kaliningradu na Królewiec i przypomniałem sobie incydent z podróży, kiedy to NRD-owski pogranicznik wysadził z pociągu jadącego z Berlina obywatela RFN-u, który na pytanie, dokąd jedzie, odpowiedział: „nach Breslau”, na co otrzymał odpowiedź: nie ma takiego miasta! Podobne – „niet takowo goroda” – usłyszą zapewne polscy kierowcy zmierzający (kiedyś) do Królewca. Ale to jeszcze nie taki duży problem, w końcu nie musimy odwiedzać królewskiego miasta Kanta. Problemem dla nas stanie się zapowiadana zmiana nazw polskich miast, co zapewne uczynią w odwecie Rosjanie. Pojawiają się problemy logistyczne, albowiem rosyjskojęzyczna poczta i GPS-y (250 mln użytkowników) będą podawały nazwy miast i miejscowości sprzed 1945 r. I po co nam to było? Ale czy jest jakieś antidotum na fobie i głupotę polityków piszących na nowo już nie tylko historię, ale i geografii? A może właśnie o to chodzi?!

Mirek Fiton, Oborniki Śląskie

I JAK TU SIĘ
TERAZ WYKAPAĆ?



PRZEMINĘŁO
Z WIATEREM

Wolicie władzę PiS czy Konfederacji?



Facebook

- Bartek Orzeł**: Nie ma się co łudzić: po jesieni będzie „na dwa baty”.
- Beata Staszak**: Ja tam wolę Konfederację, będę sobie żyła jak królowa bez płacenia podatków.
- Andrzej Bazylczuk**: Przy takim wyborze to stawiałbym na władzę w nogach – żeby móc uciekać.
- Olo Białas**: Wolicie dżumę czy cholerę?
- Włodzimierz Puch**: Ja mam inne pytanie: wolicie premiera w jednej czy w dwóch postaciach?
- Tomira Misztal**: Trudny wybór, już wołałabym Różowego Potwora Spaghetti.
- Maciej Dadej**: Wolę wódkę bezalkoholową.

- Piotr Chrobot**: Jeszcze będziemy tęsknić za PiS-em, zobaczycie.
- Maciej Dadej**: Wolę władzę umysłu, abym to prze-trwał.
- Łukasz Molenda**: Kumulacja!
- Radosław Bobowicz**: Miłość to nie znaczy zawsze to samo, inaczej jest z tatą, a inaczej z mamą.
- Krzysztof Dz Stand up**: Czy mogę od razu prosić bramkę z ZONK-iem?
- Damian Kirczuk**: Emigrację.

Forum

Zoran0: Wybieram śmierć.

Wypowiedzi pochodzą z forum internetowego tygodnika „NIE” i Facebooka.

Górnicy wydobywają o ponad jedną czwartą mniej węgla niż rok temu, za co dostają o ponad 15 proc. większe wynagrodzenia. Na hałdach kopalniowych zalega niemal 8 mln ton węgla, którego nikt nie chce kupić. Elektrownie zawałone są tym, co przychodziło statkami w zeszłym roku i co nie chciało się palić nawet w nich. Samorządy, które dostały węgiel i dopłaty do jego sprzedaży, wciąż nie pozbyły się go ze składów, mimo że poschodziły z ceny, za którą Sasin kazał im sprzedawać, by ratować Polaków przez zamarzaniem w zimę. Na dodatek od ludzi i firm, które zainwestowały w cholerę własnej i uniijnej kasy w fotowoltaikę i wiatraki, państwowa energetyka nie chce kupować ekologicznego prądu. Na samym dole tej piramidy idiotyzmu jest oczywiście obywatel, który za ciepło i prąd płaci, jakby ceny nośników energii i prądu były na świecie takie jak rok temu.

Miałający opał

W portach Belgii i Holandii tona węgla kosztuje 113 dol., czyli ok. 460 zł. W maju za tonę węgla płacono 128 dol. – ok. 529 zł. Od 19 czerwca sklep internetowy Polskiej Grupy Górniczej też obniżył ceny węgla. Za tonę trzeba teraz zapłacić 1100 zł. Przed obniżką tonę wyceniano na 1470 zł. Mało tego, jeśli w czerwcu zamówiło się i zapłaciło za węgiel po 1100 zł za tonę, to łapało się na promocję, dzięki której w kolejnym zamówieniu dostawało się rabat w wysokości 400 zł na każdej tonie.

Państwowe kopalnie dostały szarżki, bo od kilku miesięcy wszystko, co wykopią, zamiast do klientów trafia na zwałowiska. Państwowe elektrownie, które zobowiązały się odbierać zakontraktowany od nich węgiel, umowy mają w dupie. Muszą najpierw spalić to, co państwo sprowadziło kilkanaście miesięcy temu z Kolumbii, Indonezji czy Australii. To, czyli węgiel, którego brak mógł spowodować, że zimą ludzie nie mieliby czym palić w piecach.

Polskie państwowe kopalnie tego zapewnić nie mogły, bo cały urobek nadającego się do małych kotłowni węgla sprzedawały już w marcu i kwietniu, a resztę zakontraktowały zagranicznym odbiorcom.

Państwo, czyli właściciel kopalni, nawet o tym nie wiedziało i obudziło się, gdy w mediach zaczęto pokazywać puste składy opałów z resztkami „czarnego złota” po 3,5–4 tys. zł za tonę. Zareagowało więc importem. Gdy zaczęły przychodzić statki z węglem, wyszło, że to głównie miał nadający się wyłącznie do elektrowni. Państwo nie miało bowiem pojęcia, co kupuje. W portach, zamiast przeładowywać fracht na wagony, zaczęto go przesiewać, żeby odyskać choć trochę bryłek nadających się do zwykłych pieców. Bryłek było przeciętnie 30 proc. w każdym ładunku. Ale też tylko na papierze. Gdy przesiany surowiec trafiał na place składów opałów, odsyłano go tam, skąd przyjechał, lub ponownie przesiewano. Miało być w nim wciąż za dużo.

W sumie z 20 mln ton, które wpłynęły do Polski, dla ludzi było tylko ok. 5 mln ton węgla nadającego się do pieców. Resztę można było spalić wyłącznie w elektrowniach. A i to niechętnie, bo zawartości innych minerałów były tak wysokie, że groziły masowym rozpieprzeniem kotłów. Zagraniczny miał musiano więc mieszać z miałem z polskich kopalni.

Na szczęście zima była lekka i ludziom 5 mln ton wystarczyło, by nie marzli. Samorządy, które pokupowały dotowany przez państwo węgiel i miały go sprzedawać po 2 tys. zł, zostały z ręką w nocniku. Wiele z nich do dziś buja się z węglem, którego nikt nie chce. Dlatego sprzedają go ze stratą dla własnych budżetów.

Pisowskie kopalnie charakteryzują się tym, że nawet jak tracą, to i tak zyskują.

Czarne błoto

OBAWIAM SIĘ, ŻE PIS
NAS DYMA BEZ
PREZERWATYWY



Schładzanie nastrojów oddolnych

Najmieszniejsze w tym wszystkim było, że elektrociepłowniom brak węgla ani przez chwilę nie zagroził. Polskie kopalnie przez cały czas były w stanie go na bieżąco dostarczać. 15 mln ton zagranicznego miału, który trafił do elektrowni, spowodowało, że kopalnie od miesięcy pracują na pół gwizdka. W kwietniu wydobyły zaledwie 3,5 mln ton czarnego paliwa. To najgorszy wynik we współczesnej historii. Kwieciowa produkcja była aż o 26 proc. niższa niż przed rokiem.

W sprzedaży węgla też pobito rekord. Więcej schodziło go nawet w pandemii, gdy pół gospodarki nie działało.

Debile z rządu już zimą widzieli, że szykuje się jajo. Nie dość, że było ciepło, to jeszcze świeciło i wiało. Prąd z odnawialnych źródeł energii dopływał do sieci elektroenergetycznej na potęgę. To zaś wymuszało przykręcanie obrotów w elektrowniach. W takiej sytuacji nie było jak spalać nadprogramowego węgla. Decyzje polityczne były proste. Zamknąć odbiór zielonej energii i palić jak najwięcej węgla. To zaś wypuszczało w powietrze w cholerę CO₂, za które płaci się coraz więcej. Zamiast taniego prądu zimą mieliśmy najdroższy prąd w Europie, i to licząc nie w sile nabywczej, ale w realnym euro. Trucie atmosfery

też na niewiele się zdało, więc hałdy miały jak zalegały, tak zalegają.

Tymczasem przez całą zimę górnicy dymili o kolejne podwyżki. I wydymili. Z końcem lutego władza obiecała im, że zamiast średniego wynagrodzenia wynoszącego 10 492 zł będą teraz zarabiali 12 107 zł. Żeby tylko! Pracownicy zatrudnieni pod ziemią trzykrotnie w tym roku otrzymają dodatkowo kwotę 2670 zł, pracownicy zakładów przeróbki mechanicznej węgla i inni pracownicy fizyczni zatrudnieni na powierzchni – 2170 zł, a pracownicy administracji – 1670 zł. Oczywiście kwoty tych jednorazówek są wliczane do podstawy ustalania innych bonusów. Choćby nagród barbowych i 14. pensji.

Polak przepłaci

Pamiętajmy, że dzieje się to w sytuacji, gdy cena węgla na świecie utrzymuje tendencję spadkową. Jest niższa od tej sprzed roku o 80 proc. Ktoś mógłby powiedzieć, że skoro przy bardzo wysokich cenach węgla państwowe kopalnie sprzedały mnóstwo tego surowca, to na podwyżki je stać. Otóż niekoniecznie. Rządzona przez PiS Polska Grupa Górnicza nawet w znakomitym dla kopalń roku 2022 nie zdołała wypracować zysku. W 2022 r. PGG dostała z budżetu państwa 1,43 mld zł do-

płaty do (uwaga!) „redukcji zdolności produkcyjnych”. Kolejne 177,6 mln zł na ten sam cel popłynęło do zajmującego się dożywianiem węgla Tauronu Wydobycie.

Pisowskie państwowe kopalnie nie były w stanie zarobić, nawet gdy nie dało się nie zarobić. Pisowska państwowa energetyka wolą produkować drogi, zabójczy dla klimatu prąd zamiast taniego i zielonego. Pisowskie państwo nie potrafiło przewidzieć, ile węgla naprawdę potrzebujemy, a na dodatek nie było w stanie skontrolować, co kupuje. W cywilizowanym świecie w takiej sytuacji przynajmniej kilka osób by siedziało, a kilka innych zapoznawało się z zarzutami prokuratorskimi.

Zamiast organów ścigania w kwestii burdelu węglowego odezwały się górnicze związki zawodowe. Zagroziły, że jeśli rząd nie kupi całego leżącego na hałdach urobku, to one wzorem Prigożyna zrobią rajd, tyle że na Warszawę. Rząd szybko się z górnkami dogadał. Obiecał, że węgiel będzie miał zbyt, a w nagrodę za obywatelską postawę górnicy dostaną w tym roku kolejną podwyżkę.

To zaś by oznaczało, że i my dostaniemy podwyżkę – i tak bardzo wysokich – cen prądu i ciepłej wody. Górnicy zaś się upewniają, że na zrzutkę całego narodu, by żyło im się dostatnio, zawsze mogą liczyć.

TADEUSZ JASIŃSKI

Przeprosiny

Przepraszamy Pana Marka Kuchcińskiego za to, że w dniach 29.03–5.04.2019 r. w tygodniku „NIE” w materiale prasowym pt. „Nieletnia laska marszałkowska” rozpowszechniliśmy twierdzenia, że Marek Kuchciński, przebywając w jednym z podkarpackich domów publicznych, korzystał z usług seksualnych nieletniej prostytutki w ten sposób, że dopuszczał się wobec niej czynności seksualnych. Oświadczamy, że brak było jakichkolwiek podstaw do sformułowania takich treści. Ubolewamy, że w wyniku naszego bezprawnego działania bezpodstawnie i rażąco naruszyliśmy dobre imię, godność i wizerunek Pana Marka Kuchcińskiego.

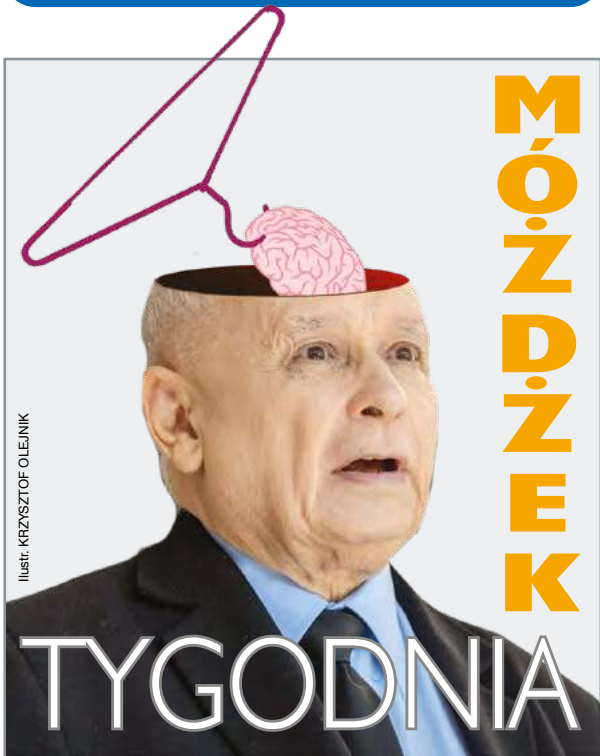
Urma Sp. z o.o. – wydawca tygodnika „NIE”

Poko- lenie Z

Czy chciałbyś iść na front bronić ojczyzny?

Wbrew nadziejom ministra Czarnka pokolenie Z nie utożsamia się z Polską. Większość jako ojczyznę wskazuje wspólnotę lokalną, z którą związani są więzami rodzinnymi i towarzyskimi. O ile młodzież wykazuje pewne przywiązanie do rodzinnego miasta lub dzielnicy, to bez ogródek przyznaje, że specjalnego związku z Polską nie czuje i mogłaby bez poczucia tęsknoty zmienić kraj zamieszkania. Zoomerzy twierdzą, że zarówno decyzja o obronie ojczyzny, jak i obrona metoda (walka zbrojna, pomoc na zapleczu, wsparcie finansowe) powinna zależeć od jednostki. Nie znam przedstawiciela pokolenia Z, który by deklarował, że w razie wojny pójdzie na front. Zresztą o konieczności walki zbrojnej mówią na ogół ludzie, których z racji wieku pobór i tak by nie objął. Pójście do woja jest dla młodych oznaką fraterstwa i najprostszym sposobem na zmarnowanie sobie życia. W razie ogłoszenia powszechnej mobilizacji najlepszym rozwiązaniem jest ucieczka za granicę, ewentualnie ukrywanie się w kraju. Mimo wszystko o ile walka w obronie Polski jest przez pokolenie Z w jakimś stopniu rozumiana (aczkolwiek w żadnym wypadku nie chcą w niej brać udziału), o tyle wojna na obcym terytorium w ramach zobowiązań sojusznicznych – na misji NATO albo po ewentualnym przyłączeniu się do konfliktu na Ukrainie – jest absolutnie niedopuszczalna. Ogółem walka zbrojna jest dla młodych całkowicie niesatysfakcjonująca i nie chcieliby oni walczyć nie tylko na wojnie, ale również w rewolucji, nawet jeśli takowa niosłaby na sztandarach ideały, w które szczerze wierzą. Wielkiej wojny ojczyźnianej raczej się w Polsce nie spodziewajmy, bo ani dla wojny, ani dla ojczyzny poparcia wśród młodych nie ma.

Aleksander, Cezary, Maks, Norbert, Radek, Weronika (20–24 lata) (red. MS)



Jeden patologicznie kłamie, drugi obłudnie ukrywa homoseksualność, trzeci zrzuca winę na podwładnych, czwarty jest przywódcą zorganizowanej grupy przestępczej wyłudniającej subwencje z Unii Europejskiej, a wszyscy oszukują i kradną. Co pisowiec, to rzezimieszek, co zjednoczony prawicowiec, to szumowina. A ich hersztem jest Jarosław Kaczyński.

Łotr, oprych, nikczemnik? Czy jednak śmieszny dziadunio, który dowodzi jedynie armią kocich pcheł i plecie takie androny, że boki można zrywać jak świeże wiśnie. Stawiamy na to drugie.

Ostatni przykład – Kaczyński o aborcji: „Ja nie chcę przesadzać, ale to niemalże na każdym rogu w Warszawie i w wielu różnych miejscach można załatwić, nikt tego nie zwalcza, więc robienie referendum w takich sprawach miałooby sens wtedy, gdybyśmy na przykład zażądali, żeby z tym zdecydowanie skończyć”.

Na jakie otepienie starcze trzeba cierpieć, żeby tak pierdolić? – zapytają Państwo. A my odpowiemy, że to nie skleroza ani alzheimer. Wiedzą Państwo, kto Kaczyńskiemu powiedział o tak dużej dostępności skrobanek w Polsce? Powiedziały mu o tym setki kobiet, które po przygodnych i ryzykownych kontaktach z liderem Prawa i Sprawiedliwości były zmuszone skorzystać z aborcji. I proszę nas nie pytać, dlaczego nie chciały urodzić.

Ustawka à la Stalin?

Kiedy bunt zamienia się w festyn...

Niektórzy z moich prorosyjskich przyjaciół (tak, mam takich i w ogóle się tego nie wstydzę) skłonni są sądzić, że cały bunt Prigożyna to kremłowska ustawka. Dla porządku: nie jestem przekonana, ale teoria jest intrygująca.

Przesraliśmy

Po ataku Niemiec na ZSRR 22 czerwca 1941 r. Stalin, jak głosi legenda, przeżył załamanie nerwowe. Zamknął się w tzw. najbliższej dacz, czyli ponurej rezydencji w Kuncewie (wówczas) pod Moskwą, przestał przyjeżdżać na Kreml i niejako abdykował z kierowania państwem. Nastąpiło to – to już nie legenda, tylko potwierdzone historycznie fakty – po wizytacji w ludowym komisariacie obrony, w którym marszałek ZSRR Siemion Timoszenko i gen. Żukow de facto opieprzyli Józefa Wissarionowicza za to, że przeszkadza im w pracy. Stalin ustąpił, zabrał Mołotowa i Berię i wyszedł. Wychodząc, powiedział: „Lenin stworzył nasze państwo, a my wszyscy je przesraliśmy”.

Było to 27 czerwca. Dwa dni później Stalin stał się nieosiągalny. Nie było go na Kremlu, nie odbierał telefonu w Kuncewie, szef jego sekretariatu Aleksandr Poskriobyszew na pytanie o wodza odpowiadał jak w sklepie: nie ma i nie będzie. Przez lata obowiązywała radująca serce teoria, według której sytuacja przerosła Stalina, bo ufał Hitlerowi i początek operacji „Barbarossa” tak go przeraził, że schował się w mysiej dziurze.

Ale serio: Stalin? Ufał? A już zwłaszcza Hitlerowi? Cóż za pensjonarski pomysł.

Znacznie bardziej przekonującą teorię na temat tych kilku dni przedstawia autor mojej ukochanej biografii Stalina, Edward Radziński.

ski, zrobił Stalin: odsunął się na bok, żeby zobaczyć, kto zachowa lojalność, a kto będzie próbował na przykład przejąć część władzy, choćby podpisując wymagające podpisu papiery. Mołotow natychmiast zorientował się w tej grze i kategorycznie odmówił podejmowania jakichkolwiek decyzji, a w ślad za nim poszli inni. Kierownictwo partii zostało sparaliżowane: Stalin nazwie ich później „ślepy mi kociećmi”. To przywróciło mu absolutną



władzę, nieco nadgryzioną niesubordynacją generałów.

Dziwaczny bunt

Według jednej z teorii taki właśnie był cel ćwiczenia pod nazwą „bunt wagnerowców”. Ich dziwaczny marsz na Moskwę nie miał żadnego sensu – Prigożyn chyba nie sądził serio, że 10 tys. żołnierzy (tyle do kupy ma ich w Rosji i na Ukrainie) zdoła zdobyć stolicę Rosji, bronioną m.in. przez 4. Dywizję Pancerną „Kantemir”, 2. Dywizję Zmotoryzowaną „Taman”, a także 1. Oddzielną Dywizję Operacyjną Gwardii Narodowej, znaną jako Dywizja Dzierżyńskiego, nie wspominając już o Gwardii Kremłowskiej. Po dziwacznym marszu nastąpił dziwaczny odwrót, zwieńczony poniedziałkowym oświadczeniem właściciela wagnerowców, że jego bunt nie był próbą przewrotu, tylko „marszem sprawiedliwości”, który miał wykazać błędy w dowódzeniu „operacją specjalną” i „pociągnąć do

odpowiedzialności” winnych tych błędów. Wiele sensu w tej opowieści, przynajmniej ma: wywoływanie zbrojnego przewrotu w trakcie wojny w charakterze demonstracji przeciwko niesprawnym urzędnikom wydaje się dość samobójczą strategią.

Podobnie niewiele sensu ma reakcja Putina, który najpierw zagroził wszystkim najsurowszą karą za zdradę, dzień później obiecał abolicję, a dwa dni później ogłosił, że to jednak zdrajcy, ale obietnica zostanie dotrzymana. Może chodziło o to, żeby wywabić te siły w Moskwie, które spiskują przeciwko prezydentowi, zdekonspirować i przykładowie ukarać autorów konspiracji?

Na razie nie wiemy nic o tym, czy i jakie ruchy nastąpiły na Kremlu, czy rzeczywiście doszło do ujawnienia przeciwników Putina, czy ktoś stracił pozycję. Wygląda na to, że ucierpiało wyłącznie pozycja Putina jako niekwestionowanego wodza.

Piękne dziewczyny z Rostowa

Zarówno Stalin, jak i Iwan Groźny mogli sobie pozwolić na takie eksperymenty, albowiem problem wizerunkowy z ich punktu widzenia nie istniał. Dla Władimira Putina koszt wizerunkowy buntu Prigożyna – nawet jeśli w efekcie rozlał się jak wściekłość po gaciach – przekracza ewentualne zyski. Niezależnie od tego, co słyszymy w Polsce, władza Putina w znacznym stopniu opiera się na poparciu społecznym. Które z kolei opiera się głównie na wierze w siłę i skuteczność wodza.

Po półtora roku nieudanej wojny i dziesiątkach tysięcy trumien rosyjskich żołnierzy ten kapitał jest już całkowicie nadwątlony. Wskazuje na to choćby radość, z jaką lud Rostowa przywitał buntowników. Mój przyjaciel Aleksandr Slepakov, rosyjski poeta mieszkający w Polsce, a pochodzący właśnie z Rostowa nad Donem, opisał to tak: „Tego dnia planowane były miejskie uroczystości dla absolwentów szkół średnich. Gubernator oczywiście odwołał te uroczystości z powodów bezpieczeństwa. Ale dziewczyny założyły wcześniej przygotowane sukienki i poszły oglądać wojnę. A dziewczyny w Rostowie nad Donem są niesamowicie piękne. Oczywiście więc przyszli też chłopcy. I rodziny z dziećmi, dużo ludzi. Żołnierze Wagnera okazali się całkiem przyjaźni, wszyscy fotografowali się z nimi, dziewczyny owinięte taśmami nabojuowymi po wierzchu swoich lekkich sukienek. Atmosfera bardzo szybko zaczęła przypominać jakiś festyn”.

Kiedy lud widzi festyn w zbrojnym zamachu stanu, to chyba zły moment, żeby igrać z poparciem dla władzy. Choć po 24 lutego 2022 r. straciłam już aroganckie przekonanie, że rozumiem Rosję i wiem, co się tam dzieje. Więc w sumie nie mam zdania.

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA

awl@redakcja.nie.com.pl

WIARA CZYNI CZUBA

1. Japonia pozostaje jedynym krajem G7 nieznanym małżeństwom jednopłciowym, choć to zapewne wkrótce się zmieni, gdyż kolejne sądy uznają, że dyskryminacja na podstawie orientacji seksualnej jest niekonstytucyjna. Prawicowy rząd Fumio Kishidy ostro protestuje przeciwko zmianom, a ostatnio otrzymał niespodziewane wsparcie ze strony Chin. Konsul generalny ChRL w Osace Xue Jian ogłosił: „Nie jestem za dyskryminacją mniejszości seksualnych, ale manipulowanie płcią to wynaturzenie, a nie ewolucja ludzkiej cywilizacji. Stało się jasne, że absolutna mniejszość skutecznie wymusza rozwiązanie na nas, absolutnej większości. Jest to sprzeczne z podstawami większościowej demokracji, którą Zachód od dawna promuje”. Zdaniem chińskiego dyplomaty prawa osób nieheteronormatywnych to „początek upadku zachodniej cywilizacji”.

2. Grupa biznesmenów występująca pod skromną nazwą Katolickie Anioły ogłosiła konkurs, który ma „dać przedsiębiorcom wzrastającym w wierze szansę

zaprezentowania swoich start-upów publiczności złożonej z inwestorów”. Wśród finalistów znalazł się Nigel Mould z firmy StackCare, która oferuje „spokój umysłu” w postaci urządzeń do inwigilacji starszoków przez ich opiekunów. System zapewnia „wgląd w rozwój i/ lub potencjalne problemy: słaby sen, częstotliwość lub długość wizyt w lazience, pomijanie posiłków, poziomy aktywności i wiele więcej” – chwali się Nigel i dodaje, że jego motywacja religijna płynie z psalmu 71: „Nie odrzucaj mnie w czasie starości; gdy siły ustaną, nie opuszczaj mnie”. Nigel zapewnia też, że smrycz mel-dująca, jak długo dziadek sika i ile babcia je, „zapewnia seniorom godność i niezależność”.

3. We Włoszech – skąd my to znamy – prokuratura jest używana przez rząd Giorgii Meloni do realizacji jej prawackiej agendy. Włochy zalegalizowały związki partnerskie w 2016 r. pod rządami lewicy, ale nie dały im pełnych praw do adopcji. Mimo to urzędy zaczęły rutynowo rejestrować partnerki matek w aktach urodzenia dzieci. Rząd Meloni zakazał tej praktyki wiosną, a ostatnio prokurator Padwy Valeria Sanzari wystąpiła do sądu o wykreślenie nazwisk drugiej matki z aktów urodzenia 33 dzieci w tym mieście. Co oznacza, że dzieci mogą znieśc się dowiedzieć, że wbrew temu, co myślały przez całe życie, mają tylko jedną mamusię. Władza nakaze im także zmianę nazwiska poprzez usunięcie członu pochodzącego od matki niebiologicznej. To na pewno będzie bardzo zdrowa zmiana w ich życiu.

4. Właściciele sieci restauracji Taqueria Garibaldi z Sacramento zapłacą 140 tys. dolarów zaległych

pensji i odszkodowań swoim pracownikom, których wydymali metodą „na księdza”. Ksiądz, przedstawiony personelowi restauracji przez jednego z szefów Eduarda Hernandeza, zaczął spotkanie od modlitwy, a później kazał pracownikom spowiadać się z tego, czy byli lojalni wobec Hernandeza i czy go nie okradali. Kiedy Departament Pracy wszczął postępowanie, Hernandez zakomunikował pracownikom, że muszą „pomóc mu”, okłamując inspektorów co do warunków i godzin pracy, i groził im „niekorzystnymi konsekwencjami migracyjnymi”. Lokalne władze kościelne wydały oświadczenie stwierdzające, że są „całkowicie pewne, że rzekomy ksiądz nie był kapłanem diecezji Sacramento”. A, to wszystko w porządku.

5. W Droghedzie w irlandzkim hrabstwie Louth banda nastolatków w biały dzień napadła na Iwana Miadiniego i jego męża, kiedy wyprowadzali psa na spacer. Jeden z mężczyzn ma złamany nos, obydwoj są poturbowani i przerażeni. Młodzieńcy zaczęli od obrzucania pary obelgami („Pierdolone cioty i pedaly”), następnie kamieniami, potem ją pobili, a na końcu zagrozili, że zgwałcą jej psa. „Co oni sobie wyobrażają, te bandy zbirów? Muszą zostać wytropieni i postawieni przed sądem za to, co zrobili. W żadnym wypadku nie może to ująć na sucho tym bandytom” – mówi rzeczniczka nacjonalistycznej partii Sinn Féin Imelda Munster. Ivan mógł legalnie ożenić się ze swoim mężem, albowiem związki jednopłciowe zostały zalegalizowane w Irlandii w 2010 r. przez rządzącą wówczas chadecką partię Fianna Fáil. Też byśmy chcieli mieć taką prawicę.

Kuchenna rewolucja



Operetkowy pucz „kucharza Putina”.

rem, walącym władzy prawdę w oczy, i jego ekipa bohatersko toczy bój na najcięższych odcinkach walk z Ukraińcami, choćby pod wspomnianym Bachmutem.

Jak doniósł londyński „Guardian”, Prigożyn, kiedy opuszczał miasto, był żegnany niczym gwiazdor rocka: „niektóre wycofujące się oddziały Grupy Wagnera również zatrąbiły klaksonami i wystrzeliły w powietrze, po czym nastąpił głośny aplauz publiczności”. Takie zachowanie zwykłych Rosjan stoi w jaskrawym kontraście z chwilami wrogim „przywitaniem” sił policyjnych, które weszły do Rostowa kilka godzin po wycofaniu się wagnerowców: jawnie krzyczano w ich stronę „zdrajcy” i „hańba!”.

Gwoli ścisłości, wszystko to działo się w dzisiejszej Rosji, w której jakakolwiek krytyka pod adresem rządzących skutkuje wieloletnim więzieniem. Sugeruje to, że ludzie w tym kraju są coraz bardziej zmęczeni wojną, bo – jak zapowiadał Putin, unikając słowa „wojna”, którego używanie grozi Rosjanom więzieniem – miała być szybkim zwycięskim marszem na Kijów, gdzie miały być zainstalowane prokremlowskie marionetki.

Bycie skurwysynem to jedno, ale bycie nieudolnym skurwysynem to już błąd niewybaczalny, zwłaszcza gdy kolejni Rosjanie wracają do kraju w plastikowych workach.

Zachód: pijane dzieci we mgle

Abstrahując od wszelkich kwestii wewnętrznych w Rosji, pucz ujawnił potężną słabość intelektualną Zachodu. Poważni, wydawałoby się, politycy, przepytywani na gorąco przez dziennikarzy, starali się z profesjonalnym chłodem przykryć słowami własne zakłopotanie, a może nawet zdumienie przechodzące w szok. Oto Prigożyn, nazywany przez wielu rzeźnikiem

Ręim Putina się wali, dyktator rosyjski w popłochu uciekł ze stolicy, a zbuntowane oddziały Grupy Wagnera Jewgienija Prigożyna mogą wieczorem znaleźć się pod Moskwą – tak do południa w sobotę 24 czerwca rozgrzewały się strony internetowe i kanały telewizyjne czołowych środków przekazu na świecie. I cytowały w nieskończoność różnej maści „ekspertów”: wojskowych, ludzi wywiadu i masę samozwańczych specjalistów od Rosji, choć wielu z nich zna ją głównie z ekranów komputera.

Po kilku godzinach dmuchania bańki medialnej równie szybko, jak urosła do gigantycznych wręcz rozmiarów, tak pękła z hukiem. Niespodzianie do akcji wkroczył „batuszka” Alaksandr Łukaszenka, który szybko mediował między puczystami z Grupy Wagnera a prezydentem Rosji.

Prigożyn (w międzyczasie Putin zdążył naznaczyć go jako zdrajcę, którego „zlikwiduje”) udał się ze swoimi ludźmi na Białoruś, skuszony obietnicą, że on i wagnerowcy nie będą ścigani za zamach stanu. Na miejscu Prigożyna, zwanego przez lata kucharzem Putina, często oglądaliśmy się za siebie, bo w wyniku nieudanej agresji na Ukrainę wśród rosyjskich elit graje seryjny samobójca...

Tak czy inaczej, bunt wagnerowców ujawnił słabość kremlowskiej władzy, niezdolnej kontrolować jak dotychczas wiernych sobie psów wojny. Putin zlekceważył poważne oznaki nadciągających problemów, co świadczy o tym, że jest coraz bardziej odklejony od rzeczywistości.

Bunt watażki

Siły wagnerowców szacuje się na ok. 50 tys. żołnierzy. Część z nich to weterani walk w Afryce i Syrii, gdzie wzbudzali strach wśród wrogów, działali bowiem z całą bezwzględnością i bezkarnością. Z jednej strony zarzucano im łamanie prawa i liczne zbrodnie wojenne, z drugiej – nie odmawiano sukcesów, będących częściowo pokłosiem tego, że niejeden z dowódców grupy nie wahał się poświęcić swoich ludzi, aby osiągnąć zamierzony cel.

Styl działania Prigożyna i jego niewyparzony język nie przysporzyły mu kolegów wśród wojskowych wyższych rang, przywiązanych do innych metod funkcjonowania na polu walki. Generałów wkurwiały oskarżenia, że regularna armia nieraz zostawiała wagnerowców na pewną śmierć i niedostatecznie wyposażała najemników w broń i amunicję.

Kiedy skończyła się cierpliwość Prigożyna, zarzucił ministrowi obrony Siergiejowi Szojgu i szefowi armii Walerijowi Gierasimowowi kłamstwa i zaniżanie liczby zabitych w walkach Rosjan. W sobotę rano 24 czerwca Prigożyn zapowiedział złowrogo na Telegramie: „Wszyscy jesteśmy gotowi umrzeć, całe 25 000, a potem kolejne 25 000, zrobimy to dla narodu rosyjskiego”. Nie jest jasne, czy byłoby tak faktycznie, ale raczej niewiele brakowało, aby przynajmniej niektórzy wagnerowcy nie poszli w – zapewne samobójczym – marszu na stolicę Rosji.

W ostatniej chwili Prigożyn uznał, że chyba przeszarżował, i zgodził się – jak mówił, aby uniknąć przelewu rosyjskiej krwi – na mediację prezydenta Białorusi, zapewniającego mu schronienie w zamian za odstąpienie od tego, co wagnerowcy nazywali „marszem sprawiedliwości”.

Co ciekawe, Pentagon ujawnił, że Prigożyn zaoferował jakiś czas temu Ukraińcom ujawnienie pozycji rosyjskich wojsk i amunicji w zamian za zaprzestanie atakowania wagnerowców i wycofanie się z Bachmutu, lecz Zefenski mu nie zaufał i do politycznego dealu nie doszło.

Jak gwiazdor rocka

Kiedy bojownicy Prigożyna wkroczyli do południoworosyjskiego Rostowa nad Donem, nie napotkali praktycznie żadnego oporu. A nie było to zwykłe miasto, lecz baza operacyjna inwazji na Ukrainę.

A już wstrząsające dla Putinowskiej klikii musiały być obrazy jednoznacznie sugerujące, że watażka cieszy się poparciem zwykłych mieszkańców Rostowa, dla których jest bohate-

Brunatni najemnicy

Znamienne, że Dmitrij Utkin, były oficer rosyjskiego wywiadu wojskowego i założyciel Grupy Wagnera, przez lata zbrojnej pięści reżimu w Moskwie z dumą dał się fotografować ze swoimi hitlerowskimi tatuażami, a swoją grupę nazwał – rzecz jasna, całkiem przypadkiem – honorując ulubionego kompozytora Adolfa, Richarda Wagnera. Weteran wagnerowców ujawnił „New Lines Magazine”, że trzon grupy stanowią neonaziści i skrajni prawicowcy. Pewien budynek w Libii, gdzie przez jakiś czas stacjonowali najemnicy, został opatrzony nazijskimi symbolami i hasłami. Na tablicie operatora Grupy Wagnera znaleziono jedynie dwie książki polityczne: „Mein Kampf” i „Międzynarodowy Żyd”. Na jednym z kanałów w mediach społecznościowych wagnerowców widniało też zdjęcie Rosyjskiego Ruchu Imperialnego, organizacji białych rasistów, szkolącej i finansującej neonazistowskich terrorystów na całym świecie w obozach wojskowych, swobodnie działających na terenie Rosji.

Kolejny scenariusz przewiduje, że Rosja może wpaść, niczym dojrzałe jabłko do koszyka ogrodnika, w ręce Chin. Xi Jinping nie miałby chyba nic przeciwko temu...

Rządzący prawie od ćwierćwiecza Putin może zostać załatwiony przez przewrót pałacowy. Struktura klik na Kremlu jest tak nieprzejrzysta, że nikt nie ma pojęcia, kto by objął stery władzy, a nade wszystko jak wyglądałyby rządy jego następcy. Nie sposób również wykluczyć buntów wojskowych – albo dowódców, albo (jak sugerują liczne doniesienia) traktowanych jak zwierzęta szeregowców.

Wszystko wskazuje na to, że ewentualna przegrana Putina ze wspieranymi przez NATO Ukraińcami wysadzi go z siodła. Pucz Prigożyna mógł być bezkrawawy, lecz następny taki być nie musi. USA i UE powinny być na to przygotowane, a dotychczas nieszczególnie myślą o tym, co będzie z postputinowską Rosją. Oby nie przyszło za to zapłacić wysokiej ceny, mierzonej przelaną krwią, i to bynajmniej nie z befsztyków przygotowanych przez Prigożyna...

ZUZANNA JURCZYŃSKA

zuzanna.jurczynska.69@gmail.com

nia ludności w regionach walczących o niepodległość krwawą łaźnią i ogniskiem destabilizacji na całym świecie.

W pamięci zbiorowej Rosjan jest scenariusz znany z bratobójczej wojny domowej po rewolucji październikowej w 1917 r., kiedy to tzw. biali (których spadkobiercą czuje się Putin) walczyli z czerwonymi, czyli bolszewikami. Rosyjski prezydent przestrzegał przed tym w swym wystąpieniu 24 czerwca. Zwykli ludzie w tym kraju obawiają się, że obywatele Federacji Rosyjskiej (niekoniecznie etniczni Rosjanie) zwrócą lufy karabinów i czołgów w kierunku własnych rodaków.

Putina – zwłaszcza od czasu, gdy od 2022 r. pozwolono Grupie Wagnera na rekrutację odsiadujących wyroki kryminalistów, stanowiących być może nawet 80 proc. bojowników – wystąpił przeciwko rosyjskim władzom.

Nikt nie miał pojęcia, czy i w ogóle komu w tych zmaganiach kibicować. Nie każdy wróg naszego wroga jest wszak naszym przyjacielem...

Co bystrzejsi analitycy zauważyli, że na razie w stolicach zachodnioeuropejskich czy Waszyngtonie brak pomysłu na to, co się stanie z Rosją po Putinie. A wtedy mogą wejść w życie scenariusze, które będą globalnym koszmarem. Szczególne zaniepokojenie budzi rosyjski arsenał jądrowy.

Byłe szczyty CIA jasno powiedziały mediom, że martwią się, iż broń masowej zagłady może wpaść w ręce terrorystów czy półszaleńców, jak czecheński przywódca Ramzan Kadyrow.

Nawet jeśli rakiety jądrowe nie dostaną się w niepowołane – cokolwiek przez to rozumieć – ręce, to nie sposób wykluczyć rozpadu Rosji, który – co więcej niż pewne – będzie skutkował z powodu etnicznego przemiesza-

Kim jest Prigożyn?

Jewgienij Prigożyn urodził się w Leningradzie (obecnie: Petersburg) w 1961 r. i jako nastolatek lubił sport. Wpadł w złe towarzystwo i zaczął jeszcze przed swymi 20. urodzinami brutalnie napadać na ludzi. Trafiał do więzienia, ale wyszedł w 1990 r., kiedy Związek Radziecki chylił się ku upadkowi. Miał łeb do interesów i dorobił dzinnym mieście ekskluzywną restaurację. Dzięki niej poznał młodego spożywczego i zaczął prowadzić w ro-Putina. Kiedy Putin zainstalował się na Kremlu, Prigożyn zyskał miano jego nadwornego kucharza, zapewniając catering prezydentom obcych państw czy koronowanym głowom. Z czasem jednak działalność w gastronomii i hotelarstwie okazała się za mało intratna dla „kucharza Putina”. Małpując Amerykanów, zaangażował się w lukratywny biznes w postaci prywatnych kontraktorów wojskowych zwanych Grupą Wagnera. Ludzie bardzo można było angażować oficjalnie armii federacji.

Po sobotnim wiecu PiS w Bogatyni mam pomysł w sprawie tego, po co Jarosław Kaczyński wszedł do rządu: kampania PiS będzie opierać się na walce z Unią Europejską i nie można było pozwolić, żeby jej liderem w Radzie Ministrów był młodszy koalicjant. Twarzą pogromcy Brukseli musi być ktoś z PiS.

Cienias i miększon

Mateusz Morawiecki nie uniesie tej roli, bo jest retorycznym cieniasem. Mimo ciężkiej pracy, jaką włożył w mowę ciała, i dziesiątek tysięcy złotych, które wydaje na garnitury, jego wystąpienia są mniej więcej tak porywające jak „Balladyna” w gminnym domu kultury, z sołtysową w roli głównej. Facet po prostu nie ma charyzmy.

Jakby tego było mało, w roli świętego wroga brukselskich elit jest o tyle niewiarygodny, że jego zadaniem w rządzie, od kiedy przejął rolę premiera, było dogadywanie się z Brukselą, za co Ziobro go jebał w kwiecisty sposób, budząc entuzjazm eurosceptycznych wyborców Zjednoczonej Prawicy, żeby wspomnieć tylko „miększoną”.

W naturalny sposób, jeśli w tym sezonie noszonym przez pisowców wrogiem ma być Unia Europejska – czy też, żeby zacytować Ziobrę, „dyktat berlińsko-brukselski” – to właśnie Ziobro byłby liderem tego przekazu. Na to Jarosław Kaczyński nie może sobie pozwolić.

Sobotnie wystąpienie prezesa pod dymiącym kominem elektrowni Turów było właściwie wyłącznie o tym, jaka wredna jest Unia Europejska i jak szkodliwe jest euro, choć zostało to okraszone zaklęciem: „to nie jest atak na naszą przynależność w Unii Europejskiej, to jest powrót do korzeni Unii Europejskiej”. W odróżnieniu od większości antypisowskiego komentarzu w to akurat jestem w stanie uwierzyć: wyjście z UE, jak pokazał przykład brytyjski, jest nieprawdopodobnie skomplikowanym proceduralnie biurokratycznym procesem, którego PiS nijak by nie uniósł, bo po prostu nie ma

Brukselczyka bij, bij, bij

Po co jest Prezes Tysiąclecia w rządzie?

specjalistów, którzy potrafią w Brukseli załatwić cokolwiek.

Zużyci wrogowie

A ponadto, mimo iż majowy sondaż CBOS, zrobiony z okazji 19. rocznicy wniowstąpienia, wykazał, że liczba przeciwników UE w Polsce ostatnio wzrosła i wynosi już 10 proc., to 85 proc. nadal wyraża euroentuzjazm.

W tym kontekście trudno znaleźć odpowiedź na pytanie, dlaczego właściwie PiS postanowiło budować tegoroczną kampanię wokół walki z Brukselą – jedyne wyjaśnienie, które mi przychodzi do głowy, to tragiczny brak innych wrogów. Wszyscy się już zużyli: geje, transy, kobiety, co nie rodzą, bo piją, nauczyciele, uchodźcy...

Trudno nie dostrzec w tym antybrukselskim koncepcie pewnej nerwowości, obecnej zresztą także w innych działaniach prekampanijnych PiS, jak choćby nagłym zastąpieniu Tomasza Poręby przez Joachima Brudzińskiego na stanowisku szefa sztabu wyborczego. Notowania PiS nie spadają, ale też nie rosną, dynamika wyraźnie władzy nie sprzyja. Kampania pozytywna – zanęta w postaci kolejnych transferów – okazała się nieskuteczna. Pora sięgnąć po wypróbowaną metodę wzmocnień negatywnych.

Z tym pewnie wiąże się fakt, że wchodząc do rządu, prezes przy okazji zdegradował pozostałych wicepremierów. Kaczyński nie jest zadowolony z rządu – sondaż CBOS z połowy czerwca wykazuje, że notowania ga-

binetu Morawieckiego są niezmiennie złe: ma 30 proc. zwolenników (czyli mniej niż partia rządząca) i 47 proc. przeciwników.

Zielona ruina wyspy

Co ciekawe, dużo więcej, bo aż 55 proc. badanych „złe ocenia dotychczasowe wyniki działalności rządu”, co oznacza, że są jeszcze jacyś Polacy, którzy uważają, że rząd spierdolił robotę, ale z jakichś przyczyn wahają się przed zapisaniem się wprost do grona jego przeciwników. Obstawiam obrzydzenie do polityki w ogóle.

Żeby było zupełnie śmiesznie: przy całej ohydzie rządów PiS – o której nie będę pisać, bo przecież wszyscy znamy to na pamięć – polska gospodarka pod tymi rządami radzi sobie naprawdę nieźle. Podobnie jak pod poprzednimi. Jak zauważa autor książki „Europejski lider wzrostu: polska droga od ekonomicznych peryferii do gospodarki sukcesu” prof. Marcin Piątkowski – ekonomista, który wykłada na Akademii Leona Koźmińskiego, ale pracuje w Waszyngtonie, toteż nie jest związany standardami dyskursu wojny polsko-polskiej – Polska jest europejskim liderem wzrostu od 33 lat, co oznacza także ostatnie osiem.

Mamy oczywiście bardzo wysoką inflację, ale drugą stroną medalu jest rekordowo niskie bezrobocie. W efekcie – zauważa Piątkowski, który ostatnio urósł do roli mojego osobistego ekonomicznego guru, zaraz za Kołodką – „nastąpiło odwrócenie ról: tak jak w 2015 roku PiS mówiło, że Polska jest ruinie, a PO, że mamy zieloną wyspę – tak teraz jest dokładnie odwrotnie: PO mówi, że mamy gospodarkę w ruinie, a PiS że jesteśmy zieloną wyspą. Ani jedno, ani drugie nie jest prawdą”.

Trzecia bramka

Wspomniany wyżej standard dyskursu polsko-polskiego sprawia, że ci obywatele, którzy utożsamiają się z jedną lub drugą stroną, nie pozwalają sobie na obiektywną ocenę sytuacji, bo widzą w tym zdradę ideałów. Stąd pisowska propaganda sukcesu jest tak samo nieskuteczna wobec zwolenników antypisu, jak antypisowski czarny piar omija wyznawców „dobrej zmiany”. Jest jednak – mówił o tym ostatnio np. prof. Sławomir Sowiński – jeszcze trzecia grupa wyborców: Polaków zainteresowanych polityką, ale niewpisujących się w ten prosty dualizm.

Sowiński zauważa, że na polskiej scenie politycznej mamy dziś dwie osie polaryzacyjne: jedna przebiega między PO i PiS – i te dwie partie próbują zagospodarować tę polaryzację w formie igrzysk – druga zaś dzieli wyborców w proporcji dwie trzecie do jednej trzeciej: gdzie ta mniejsza grupa to ludzie, którzy mówią, że mają dość tych igrzysk i są gotowi zagłosować na kogoś innego. Albo na Konfederację, albo na Trzecią Drogę, albo na lewicę.

Wyznam, że po posłuchaniu historycznej szarzy pisowców na Unię Europejską – która jest wszak ukłonem pod adresem elektoratu Konfederacji – zaczęłam mieć nadzieję, że spora grupa z tego trzeciego segmentu wybierze bramki B i C. Jedno i drugie jest dobrym pomysłem z punktu widzenia szans opozycji na przejęcie władzy.

Jeśli o mnie chodzi, to niczym Aleksander Kwaśniewski, „dopóki będę mieć siłę dowlec się do urny – nie własnej, lecz wyborczej – zawsze zagłosuję na lewicę”. Czego i Państwu życzę.

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA
awl@redakcja.nie.com.pl

PLURALIS MAIESTATIS

Granice sarkazmu

Mecenas Roman Giertych swego czasu donosił, że prezes Jarosław Kaczyński ma słabość do napisanej przez Włodzimierza Gilewskiego w 1926 r. pieśni piłsudczyków „Więc pijmy wino, szwależerowie”. „W domu została dziewczeczka mała / Jej młode serce tęsknota rwie / Czasami czule nawet wspomina / Że niegdyś razem żyło się”. Mnie to brzmi idealnie jak song dla posła/ministra członka Marka Kuchcińskiego, ale niech będzie, że Kaczyński nie śpiewa o dziewczeczkach, a o koteczkach. W każdym razie mięta prezesa do kotów i Kasztanek jest szeroko znana.

Na wiecu PiS w Bogatyni-Turowie padły słowa, które – gdyby nie rzezonie okoliczności – mogłyby zostać uznane za ocierające się o sarkazm. Poseł Zbigniew Girzyński oznajmił z trybuny: „Na trudne czasy przychodzą wyjątkowi ludzie. W XIX wieku o honor walczył książę Józef Poniatowski, o niepodległość walczył Józef Piłsudski, a gdy wyzwania XXI wieku powodowały, że mogliśmy utracić to, co najcenniejsze, pojawili się Lech i Jarosław Kaczyńscy”. Nie wiem, co jest najcenniejsze, ale wiem, że „najcenniejsze” chce stracić część Polek. I tutaj apeluję do Girzyńskiego: w akcie wazeliniarstwa odśwież pan prezesowi płytotekę. Popularna kapela Mikromusic nagrała kawałek, z którym Kaczyński musi się zapoznać. Kawałek jest – znowu uściślenie – songiem romantycznym, a nie sarkastycznym. Nosi tytuł „Takiego chłopaka”. A jego refren brzmi: „Daj chłopaka / Nie wariata / Daj nie palacza / Nie biedaka / Daj nie pijaka / Nie Polaka / Daj

nie brzydala”. W sumie wyrażone w nim dziewczęcinie pragnienia są tożsame z obserwacją, którą poczynił redaktor Jerzy Urban jeszcze w latach 80. XX w.

Urban napisał w felietonie, że młodzież męska, a szczególnie młodzież męska bytująca na wsi, jest olewana ciepłym moczem przez rówieśnice. Rówieśnice chcą bogatego i miastowego. W romantycznym domyśle – niepijącego i nie brzydala. Tymczasem kronika obyczajów PRL ukazuje nam instytucję mewek, czyli dewizowych prostytutek. Pamięć zaś podsuwa mi obrazy z łódzkiej kawiarni Ratuszowa, gdzie siedziały może nie mewki, ale dziewczyny, które miały smak na rajstopy. Panny doskonale wiedziały, że owe rajstopy mogą im swobodnie zapewnić słuchacze Studium Języka Polskiego dla Cudzoziemców Uniwersytetu Łódzkiego okupujący sąsiednie stoliki. Rajstopy i kilka innych rzeczy, choć cudzoziemskie małżeństwo – nieczęsto oraz niekoniecznie. Lata minęły, socjalizm runął, ale przy którymś dziewczęcinim winku znowu okazało się, że mąż cudzoziemiec (level wyżej niż mąż miastowy) to mokre marzenie Polek. Tak, chłopcy ze wsi byli kompletnie bez szans... I pewnie na wieki wieków.

Redaktor Jerzy Urban postulował, aby dla męskiej młodzieży wiejskiej sprowadzić większe grupy, czyli tabuny imigrantek – posłusznych Tajek. Tym samym okazał prawdziwą męską solidarność. Nie oczekuję od prezesa Kaczyńskiego ani męskiej, ani kobiecej solidarności, ale jego bogatynskie nawoływanie do przyszłego udziału w przy-

Wciąż są w Polsce ciężarne, które chcą się pozbyć zawartości macicy natychmiast po urodzeniu. Choć dobry PiS płaci 500+ i stworzył wielką presję społeczną, że miejsce dziecka jest w biologicznej rodzinie.

Patrycja

Jest lekarzem, mieszka w Warszawie. 34 lata, od ośmiu lat szczęśliwa żona informatyka. Rok temu uradziła z mężem, że pies to za mało, żeby być kompletną rodziną. Nie mogą mieć własnych dzieci, ona jest już po specjalizacji. Dobry moment na adopcję.

Przewertowali prawo. Adopcja ze wskazaniem kojarzy się PiS-owi z handlem ludźmi. Bo nie wiadomo, co biologiczna mama weźmie od tej drugiej. Szmał na ciążową sukienkę, witaminy, żeby płód zdrowo się rozwijał, a może górę euro na skończenie własnych studiów?

– To rozważania bezprzedmiotowe – wytyka Patrycja. – Handluje się ludźmi, żeby ich uprzedmiotować i wykorzystywać. Wysłać do katorżniczej pracy albo skazać na karierę gwiazdy porno. Taka jest definicja zjawiska. Czy słyszała pani o dziecku adoptowanym w takich celach? U nas, w Polsce? – pyta.

Prawda, ale PiS nie słynie z rozsądku. Zdaniem Morawieckiego i spółki najlepsze więc jest – cytuję za rządową stronką, poświęconą tym sprawom, „przysposobienie bezpośrednie, kiedy nadcaloprocudurczuwaśrodekadopcynny”. Najchętniej diecezjalny.

Adopcja ze wskazaniem jest jednak możliwa. Do niedawna jedynym warunkiem była przykleпка sądu. To było rozsądne rozwiązanie. Przecież w przypadku pojawienia się wątpliwości sąd mógł wyzywać na pomoc speców wszelkiej maści, również z ośrodków adopcyjnych.

Dziś można oddać dziecko jedynie członkowi najbliższej rodziny. Choć zostawiono furtkę. Trzeba jednak spełnić specwarunki.

Biologiczna mama musi zgłosić w ośrodku adopcyjnym zamiar oddania dziecka. Adoptujący musi zostać zakwalifikowany na rodzica przez tenże ośrodek i pomyślnie przejść szkolenia. Jedynie wówczas, kiedy wszyscy będą dąć w jedną dudkę, sąd może pobłogosławić adopcję ze wskazaniem. Przyjaźń, zaufanie czy co tam jeszcze może łączyć mamę biologiczną z tą drugą, absolutnie nie ma znaczenia.

Przekonania religijne

Jak mus, to mus. Patrycja wzięła męża pod pachę i do ośrodka. Na dzień dobry usłyszeli, że kandydat musi mieć „odpowiednie kwalifikacje osobiste”. Myślicie: mądrość życiową i zdolność do kochania? Te zalety nie są konieczne. „Przekonania religijne kandydata” już tak. Buddyści nie mają szans na przekonanie urzędników, że mogą być dobrymi rodzicami. Parom homoseksualnym głośno mówimy „nie”.

Perspektywy likwidacji klauzuli sumienia.

Mnożą się przypadki śmierci młodych kobiet w położu, spowodowane brakiem interwencji medycznej ratującej życie, czyli wykonania niezbędnej w tym celu aborcji. Z powodzeniem się na klauzulę sumienia. W wielu miastach doszło na tym tle do manifestacji kobiet i kontrmanifestacji głównie mężczyzn. Najbardziej szokujące z opisanych przez „Gazetę Wyborczą” przypadków to: Izy z Pszczyny (której w piątym miesiącu ciąży odeszły wody połogowe, ale z aborcją umierającego płodu czekano aż pięć dni, w rezultacie czego położnica zmarła na sepsę) oraz ciąży bliźniaczej Agnieszki z Częstochowy (po śmierci jednego z bliźniaków zwlekano też kilka dni z aborcją, aż rzecz zako-

Państwo PiS troszczące się o rodzinę i dobro dzieci to zwykła ściema.

Furtka jak ucho od śledzia

Przebrnęli przez kłopotliwe pytania. Tak, są katolikami, nie, co nie dzieli nie uczestniczą w mszy świętej, pracują na dyżurach. Dostarczyli milion zaświadczeń. Po spenetrowaniu życia nastąpiła penetracja domu. Czy tu nie jest za elegancko? Za czysto? Czy dziecko nie zburzy sielanki?

– Przecież mamy psa. I nie jesteśmy perfekcjonistami. Piasek na kanapie nie rujnuje mi życia – oponowała Patrycja.

– Dobrze. No niech będzie. Musicie pamiętać, że jest kolejka... Procedury... Taaak, proszę się nastawić na rok, może nawet dwa lata czekania. Dziecko będzie mieć kilka lat, takich kandydatów mamy najwięcej...

Weronika

Weronika jest poważnie chora. Ma pięcioro pociech, więc kiedy lekarz powiedział „ciąża”, poczuła tylko strach. Mąż podobnie. – Aborcja? Pani żartuje – oświadczył medyk. – Pani nie jest na tyle chora, żeby usunąć ciążę z powodów medycznych, dla ratowania Pani życia.

– Turystyka aborcyjna? Za drogo. Urodzę i oddam – postanowiła.

W piątym miesiącu ciąży zgłosiła się do ośrodka adopcyjnego. – Nad drzwiami krzyż, o, jestem u swoich – pomyślała.

– Chcę poznać przyszłych rodziców, współdecydować, jakim osobom powierzam moje dziecko. Chcę, żeby byli przy mnie podczas badań, widzieli na USG rozwijający się płód, asystowali przy narodzinach... Tak się tworzy więź – mówiła. Nie przeżywała, choć siedząca naprzeciwko kobieta dostała wytrzeszczu.

– Pani żartuje – odezwała się w końcu pani psycholog. – Najlepiej dla wszystkich, jak nowymi rodzicami zostaje ktoś anonimowy. Pani nie może ich znać, bo będzie ich pani nadozwać... Musi pani zapomnieć o dziecku w chwili opuszczenia porodówki.

– Jak oddawałam szczeniaki, sprawdzałam, kim są ludzie, którzy biorą mojego pieska – próbowała przekonać urzędniczkę do swego punktu widzenia.

– Dziecko to nie pies – usłyszała.

– My, rodzice biologiczni, stanowimy kłopot dla urzędników. Czegoś chcemy, bywamy nieprzewidywalni. Ich ideał: mama ma podpisać w szpitalu zrzeczenie się praw do dziecka i baj, tam są drzwi. Żadnych pytań – podsumowuje swoje doświadczenia.

Beata

Pewnie Patrycja została by mamą synka Weroniki – miał urodzić się chłopiec, panie dobrze się rozumiały, ale pięć tygodni przed wyznaczonym terminem porodu do lekarki zadzwoniła koleżanka. Też doktorka. Ginekolog położnik. Właśnie schodzi z dyżuru, urodziła się dziewczynka i mama zamierza oddać dziecko do adopcji. Dziewczynka ma dwie godziny, matka 24 lata i na imię Beata...

O szóstej rano Patrycja pojechała do szpitala wyciągnąć adres położnicy. Po tem ruszyła do ośrodka adopcyjnego.

– Nigdy tego nie robimy. Dobrze, dla państwa uczynimy wyjątek – krygował się dyrektor.

Najchętniej zabrałaby kruszynkę do domu. Ale to zabronione. Dzisiaj musi trafić do pogotowia rodzinnego. Co najmniej na sześć tygodni. Bo mama musi mieć czas, żeby się rozmyślić.

Patrycja dostawała od ośrodka adopcyjnego rachunki na pieluszki, mleko, ubranka, szczepienia. Chciała płacić. Przecież to córka. Przygotowywała sypialnię dla małej, kupowała ubranka...

Magiczny 43. dzień. Telefon od dyrektora: – Beata nie zgłosiła się do sądu, żeby potwierdzić zrzeczenie się praw, nie wolno jej do niczego zmuszać, trzeba czekać, może dalej chce oddać córkę, może nie.

Na szczęście mieli adres dziewczynki. Patrycja napisała list. „Pani Beato, prosimy o kontakt, chcemy być rodzicami dla Pani córeczki...”

Bała się, że Beata się rozmyśliła. Jednocześnie bała się, że dostanie dziecko, ale kobieta do końca życia będzie nachodzić ją i córkę.

Patrycja Beata

Beata zadzwoniła natychmiast po odebraniu listu. Przeglądały pół nocy. Dlaczego ona nie może wychować dziecka, dlaczego Patrycja chce to zrobić. Beata skarżyła się, że nie wie, gdzie przebywa maleństwo. A przecież powinna być informowana, póki nie dopłyną do portu. Do nowego domu dziadziusia. Nie chcą jej nawet powiedzieć, czy córeczka jest zdrowa.

– Mam siostrę pod Waszyngtonem.

rys. MARCIN BONDAROWICZ

Adopcja ze wskazaniem jest tam powszechna. To, że nie mogą wychować dziecka, nie jest równoznaczne z tym, że chcą je porzucić. Zostawić jak niechciany bagaż – mówiła Beata.

Tak rozmawiały przez trzy kolejne dni.

O decyzji nowej przyjaciółki Patrycja dowiedziała się z SMS-a. – Proszę, niech nasza córka nazywa się Patrycja Beata...

Tego samego dnia Beata podpisała papiery. – Teraz zbierze się komisja, która zdecyduje o wyborze rodziny – poinformował obie mamy dyrektor. Zdziwiły się. Jak to? Przecież są dogadani?

– Taka procedura – zakomunikował. – Względy formalne...

– Wybrano inną rodzinę – usłyszały po spotkaniu komisji. – Dlaczego? – Patrycja nie mogła uwierzyć własnym uszom. – Z pewnych względów.

Patrycja natychmiast odebrała swoje dokumenty z ośrodka adopcyjnego. Zadzwoniła do Beaty. – Szybko, zaraz po ciebie podjadę, prujemy do sądu, bo nas ograją. Musisz wycofać zgodę na oddanie dziecka.

Wiedziały, że liczy się czas. Noworodek to łasy kąsek na adopcyjnym rynku, trzeba zdążyć przed urzędnikami.

Zdążyły. Beata wycofała zrzeczenie się praw rodzicielskich. Patrycja przekazała kwity z ośrodka adopcyjnego poświadczające, że nadaje się na mamę.

Złożyły wnioski o adopcję ze wskazaniem i – Patrycja – wniosek o powierzenie pieczy tymczasowej nad Patrycją Beatą. Żeby była w kochającym domu od zaraz, nie czekała w bidulu, aż skończą się procedury.

Ośrodek adopcyjny upomniał się o Patrycję Beatę osiem minut później.

Sędzia z ochotą wykonała swoją powinność.

Liczba dzieci zgłoszonych do ośrodków adopcyjnych w 2022 r. to 892. Tylko dwoje miało poniżej pierwszego roku życia. Większość ma 5–9 lat. Liczba adopcji krajowych – 375. Z oczywistych względów – ciszej nad tą trumną – Mazowieckie Centrum Polityki Społecznej nie podaje liczby adopcji ze wskazaniem.

Liczba adopcji zagranicznych – 12. Do przeprowadzenia adopcji międzynarodowych uprawniony jest jeden ośrodek: Katolicki Ośrodek Adopcyjny Diecezji Warszawsko-Praskiej w Warszawie. PiS nie ukrywa, że chce, aby polskie dzieci były przysposabiane przez polskie rodziny, więc coraz mniej cudzoziemców stara się w Polsce o dziecko.

Liczba sierot, w tym tzw. sierot społecznych – ok. 96 tys.

Obie mamy są szczęśliwe i spokojne. – Czy jest coś takiego jak zbyt wiele miłości? – retorycznie pyta Patrycja.

Ludzie szukają

Z internetu wylewają się ogłoszenia osób pragnących wziąć maleństwo z rąk jego mamy:

Michał: „Witam. Dobrze sytuowane małżeństwo w wieku 35 lat przyjmie maluszka do adopcji ze wskazaniem. Z chęcią damy kochający dom rodzeństwu lub bliźniętom. Nie możemy mieć własnych dzieci. Telefon...”. Mara: „Uczciwie, dobrze sytuowane małżeństwo marzy o zaopiekowaniu się dzieckiem, najlepiej niemowlęciem, niestety nie jest dla nas możliwe posiadanie własnego dziecka, zerwanie kontaktu po adopcji wbrew woli mamy jest według nas niedobre i bezduszne i wcale nie jest psychologicznie uzasadnione”. Kinga: „Małżeństwo starające się o dziecko od 12 lat marzy o zaopiekowaniu się przez adopcję ze wskazaniem. Pragniemy dać miłość, stworzyć rodzinę i kochający dom...”.

Oraz kobiet pragnących oddać dziecko. Toya: „Dzień dobry, jestem w 29. tygodniu ciąży (zdrowa dziewczynka), szukam kochającego domu dla dziecka, woj. kujawsko-pomorskie. Pula: „Witam. Szukam rodziców adopcyjnych dla mojego nienarodzonego dziecka. Jestem w 18. tygodniu ciąży i mam 33 lata. Mam już synka dwulatka, którego wychowuję sama. Jest mi strasznie ciężko, nie wystarcza nam na nic, mieszkam z dzieckiem u koleżanki. Robię to dla dobra maluszka, chcę, żeby miał w życiu lepiej. Dobre jedzenie, przedszkole z angielskim, porządna szkoła. Jeśli ktoś byłby zainteresowany, telefon...”. Grażyna: „Dobrze będzie, jak pożyję 5 lat, chcę zapewnić swojemu synkowi spokojny dom, żeby nie włóczył się po sierocińcach... Ciężę wykryto w trakcie diagnostyki onkologicznej. 20. tydzień, telefon...”.

Z tej maki będzie chleb jedynie pod warunkiem, że mamy wykażą ponadprzeciętną wolę wykiwania systemu.

BOŻENA DUNAT

Położniczy dylemat

czyła się śmiercią drugiego i położnicy). Imiona tych i wielu innych ofiar restrykcyjnego ustawodawstwa antyaborcyjnego mobilizują kobiety w całym kraju do protestów.

Jeśli bliżej przyjrzeć się sprawie, to szczególnie złowroga jest tu rola wylansowanego przez episkopat ruchu na rzecz tak zwanej klauzuli sumienia. Klauzula ta stała się zakałą ideologiczną polskiego środowiska medycznego i przekształca Polskę w skansen europejskiego ciemnogrodu. Na południu kraju, w strefie dominujących wpływów PiS, praktycznie wszyscy ginekolodzy podpisali tę klauzulę. Interesujące, że nawet w najbardziej drastycznych przypadkach nie znalazł się choćby jeden medyk, który poradziłby rodzinom

ofiar w trakcie poszukiwania pomocy, aby nie spodziewały się jej na miejscu, lecz niezwłocznie zabrały krewną z polskiego szpitala i wywiozły do najbliższego na Słowacji lub w Czechach, gdzie natychmiast za małą opłatą zrobią niezbędny zabieg. Tam też rządzą i leczą katolicy, ale normalni, a nie opętani.

Z literatury klasycznej znamy dylemat typowy dla położników dwa wieki temu: zrozpaczony lekarz rozkłada ręce i informuje pana domu, że można uratować żonę lub dziecko – decyduje oczywiście sama położnica.

Dzisiejszy polski dylemat położniczy bywa prostszy: płód jest nie do uratowania, ale natychmiastowa aborcja pozwoliłaby uratować położnicę. Decyduje jednak narzędzie

ciemnogrodu – klauzula sumienia – i umierają oboje. Mimo drakońskich ustawy antyaborcyjnej można by uratować życie wielu kobiet, gdyby nie powołanie się na klauzulę, która pozwala lekarzowi odmówić wykonania zabiegu z powodu przekonań religijnych. Lewica postuluje likwidację przepisu ustawowego o tej klauzuli. Na to chyba szanse przy obecnych wpływach Kościoła są znikome.

Ale jest światełko w tunelu. Obecne manifestacje i nastroje kobiet dają szansę, że ofiara tych z nich, które z powodu klauzuli sumienia umarły, może nie pójść na marne, gdy stanie się ważkim argumentem w najbliższych wyborach. Opozycja może zebrać wszystkie nieszczęśliwe przypadki przez tę klauzulę spowo-



dowane, rzetelnie je zestawiać i opisać na plakacie wyborczym. Zakomunikować elektoratowi, że po wygranych wyborach uchylą możliwość powoływania się na sumienie w przypadkach zagrożenia życia kobiety. A także zapewnić, że zgubne konsekwencje dla życia położnicy i dzieci spowodowane w wyniku stosowania klauzuli dotychczas nie ujdą bezkarnie i w każ-

dym przypadku zostaną rozliczone przez organa samorządu lekarskiego oraz w razie potrzeby przez sądy karne. Bezdušní, motywowani ideologicznie zabójcy kobiet nie ujdą karze i co najmniej stracą uprawnienia zawodowe. I w tej kwestii doszuszujemy do cywilizacji.

M.Z.

Problem, którego nie ma

Polityka migracyjna w Polsce jest jak seks w Związku Radzieckim.

W 1999 r. byłem posłem opozycyjnego SLD. Napisałem interpelację do premiera Jerzego Buzka z AWS. Zapytałem: Dlaczego rząd polski nie ma polityki migracyjnej?

Premier bardzo podziękował mi za zwrócenie uwagi na „tak ważny problem”. I dodał, że „trwają pilne prace nad stworzeniem takiej polityki”. W 2002 r. jako poseł koalicji rządzącej taką samą interpelację, tylko z nową datą, wysłałem do premiera Leszka Millera. Otrzymałem taką samą odpowiedź jak od Buzka. Dwa lata później tekst wcześniejszych interpelacji wysłałem do premiera Marka Belki. Odpowiedziano jak poprzednio. W 2005 r., znów w opozycji, gotową interpelację wysłałem do premiera Kazimierza Marcinkiewicza. A rok później – do premiera Jarosława Kaczyńskiego. Zawsze otrzymywałem odpowiedzi podobne do tej pierwszej. Na zasadzie kopiuji – wklej. Dlatego nie zdziwiłem się, kiedy premier Donald Tusk pytany o to w mediach w 2013 r. odpowiedział jak premier Buzek w 1999 r.

Róbcie, ale po cichu

Polityka migracyjna w III Rzeczypospolitej traktowana jest jak seks w Związku Radzieckim. Oficjalnie seksu tam nie było. Ale dzieci ciągle się rodziły.

Polscy politycy w III RP traktują politykę migracyjną dwojako. Dla narodowo-katolickich patriotów każda migracja jest zagrożeniem dla czystości polskiej substancji narodowej. Polskiej rasy. Ale nawet oni nie są ślepi. Dostrzegają długoletni niż demograficzny w kraju. Znają prognozy grożące postępującym starzeniem się naszego społeczeństwa i zmniejszaniem się grupy obywateli w wieku produkcyjnym.

Ponieważ polski katolicyzm opiera się na zakłamaniu i hipokryzji, to wymyślili „patriotyczną migrację”. Zaproponowali Polakom mieszkającym za granicą powrót do Polski. Ponieważ większość Polonii mieszka w krajach nadal bogatszych od III RP, na cel wzięto biedotę ze Wschodu. Z państw byłego Związku Radzieckiego. Organizowaną przez władze migrację ubrano w patriotyczne i katolickie szaty. Jako zadośćuczynienie dla Polaków wywiezionych przez Sowietów na Syberię i do Kazachstanu. Odzyskiwanie utraconej substancji narodowej i katolickiej.

Najpierw uroczystie sprowadzono stamtąd staruszków, którzy nie odnajdywali się w nowych, często obcych im warunkach. Repatriacji katolików z dawnego ZSRR przeciwstawił się polski Kościół kat. kierowany przez prymasa Józefa Glempa. Prymas obawiał się, że Kościół straci tam bazę społeczną. A przecież papież Polak kooperował wtedy z Kremlą, bo marzył o pielgrzymce do Rosji.

Dla młodszych kandydatów na migrantów wymyślono Kartę Polaka. Uprawniającą do pracy i bezpłatnej nauki w Polsce, a także – świadczeń publicznej służby zdrowia i zniżek na komunikację. Warunkiem było posiadanie polskich przodków. W Białorusi, a zwłaszcza w Ukrainie, od wieków roilo się od rodzin wielonarodowych. Nietrudno było tam o polskiego dziadka lub pra-

dziadka. Ich brak zaspokajały firmy produkujące poświadczenia o istnieniu takich. Procedury wydawania Kart Polaka ożywiły lokalnych działaczy organizacji polonijnych. Dzięki wydawanym kartom rosły ich pozycje w lokalnych społecznościach. I tak z Kartami Polaka przyjeżdżały na studia do Polski także dzieci białoruskich i ukraińskich lokalnych notabli.

Kozojebcy na gwałt

Wszystkie rządy w III PR traktowały migrację do Polski jak władze ZSRR seks. Wiedziały o jej istnieniu, ale unikały wspomniania o niej publicznie. Wraz ze stałym wzrostem gospodarczym i postępującym niżem demograficznym stale rosło w Polsce zapotrzebowanie na pracowników cudzoziemskich w przedsiębiorstwach



średniej. „Zjadasz sajgonki – osadzasz Japonki” odpowiadali ironicznie narodowcom.

W czasie kampanii wyborczej w 2015 r. politycy PiS skutecznie zmobilizowali wyborców, strasząc ich najazdem hord „islamskich kozojebców”. Zagrali na niechęci do islamu i zoofilii. A potem przez osiem lat rządów PiS systematycznie rosła cicha migracja do Polski. Dziś co dziesiąty pracujący w Polsce jest cudzoziemcem. W tym roku przybędzie nam co najmniej 100 tys. nowych migrantów.

Elity PiS tworzą zakłamaną rzeczywistość. Dzielą migrantów na dobrych, sprawdzonych, zapraszanych przez polskie firmy do pracy i tych złych, którzy wdierają się do Polski, aby lekko tu sobie pożyć. Tych pierwszych przybędzie nam w tym roku przynajmniej 100 tys. Tych drugich mogą być niecałe 2 tys. Czekają na nich zamknięte ośrodki o standardzie gorszym niż zaoferowane internowanym w 1981 r. działaczom Solidarności przez Wojskową Radę Ocalenia Narodowego.

Idą wybory, znów przywódcy PiS chcą wykreować konflikt, który obiecują potem skutecznie rozwiązać. Straszą inwazją „przymusowych uchodźców” i obiecują pokroić ją referendum. Przeprowadzonym w czasie październikowych wyborów parlamentarnych jako ukryta, zakazana przez kodeks wyborczy agitacja.

Nie wspominają, że te 2 tys. osób nie muszą tu przyjeżdżać. Wystarczy, że rząd polski podejmie minimalne działania.

Obiecują też, że sprowadzeni przez ich firmy migranci będą przebywać w Polsce tylko na sezonowych kontraktach. Potem wrócą do siebie. To oczywisty pic. W latach 60. Niemcy też się okłamywali, że tureccy pracownicy powrócą do siebie. Ale oni poculi się u siebie w Niemczech. Bo jak potem Niemcy zauważyli, „zaprosiliśmy pracowników, a przyjechali ludzie”.

Znów będziemy mieli w Polsce pyskawkę medialną sprowadzającą ważny problem cywilizacyjny do poziomu walki wyborczej. Bo polscy politycy wolą pyskować w internecie niż tworzyć długofalową politykę migracyjną państwa polskiego. Ostatni publicznie postulował jej stworzenie we wrześniu 2018 r. wiceminister inwestycji i rozwoju Paweł Choraży z rządu PiS. Został za to od razu wyrzucony z pracy.

PIOTR GADZINOWSKI

WIEŚCI Z KRUCHTY

✦ Ks. Jacek W., były proboszcz w parafii św. Jakuba Apostoła w Dąbrowce Królewskiej pod Grudziądzem, to według prokuratury potwór w sutannie. Zarzuty obejmują gwałcenie, poniżanie, wykorzystywanie, manipulowanie nieletnim, a nawet wmówienie ofierze... małżeństwa. Przed Sądem Okręgowym w Toruniu rozpoczął się jego proces karny. Ksiądz został do niego doprowadzony z więzienia. Na rękach i nogach Jacek W. miał kajdanki, a na głowie kominiarkę. Gdy trafił na salę sądową na miejsce dla oskarżonego, trząsł się jak galareta. Ks. Jacek był spowiednikiem chłopca, który już jako dorosły człowiek wygrał z kurją. Ksiądz pedofil wykorzystywał go dziewczę lat. Wykorzystywanie dostanie odszkodowanie w wysokości 600 tys. zł.

✦ Na początku marca tego roku w domu katolickim w Sosnowcu znaleziono zwłoki 26-letniego diakona. Na ciele młodego duchownego znajdowały się rany klute klatki piersiowej i szyi. Zwłoki zostały zabezpieczone do sekcji. Tego samego dnia archidiecezja sosnowiecka wydała oświadczenie, w którym poinformowała o śmierci jednego z diakonów oraz drugiego księdza, którzy pracowali w bazylice katedralnej w Sosnowcu. Trwa wyjaśnianie szczegółów śmierci 26-letniego diakona i 46-letniego księdza. Ciała dwóch duchownych znaleziono w odstępie 1,5 godz. Według nieoficjalnych doniesień starszy duchowny miał zabić młodszego poprzez zadanie mu kilkunastu ciosów nożem, a następnie popełnić samobójstwo. Duchowni mieli być ze sobą skonfliktowani.

✦ 9 czerwca policjanci z Łukowa pod Siedlcami zatrzymali pijanego księdza. W jego sprawie toczy się postępowanie. „Mężczyzna usłyszał już dwa zarzuty dotyczące posiadania środków odurzających i substancji psychotropowych. Pierwszy zarzut dotyczy ok. 16 g środków psychotropowych. Natomiast drugi zarzut dotyczy 15 ml i 1 g środka odurzającego” – obwieściła prokuratura szczegółowiej. Duchowny posługiwał w parafii Matki Boskiej Nieustającej Pomocy w Radzynie Podlaskim. Ponoć także miał się zachowywać nieobyczajnie. Nie wiemy jak, ale zachowanie nieobyczajne miało miejsce na tylnym siedzeniu auta.

✦ Ks. proboszcz Andrzej Szczęśny z kościoła bł. Radzyna Gaudentego w Gnieźnie (woj. wielkopolskie) dał na niedzielnej mszy czadu. Przynajmniej tak się wydawało jednej z parafianek. Nie głosił kerigmatu, lecz powołując się na słowa Chrystusa, prowadził agitkę w obronie popełniającego przestępstwa kleru (pedofilii, molestowania seksualnego). I robił to z szyderstwem na ustach. Parafianka wstała i próbowała przerwać to kazanie. Rzucili się na nią inni wierni. Co ksiądz zyskał? Pięćminutową sławę i wieczny obciach.

✦ Sąd Rejonowy w Jasle uznał ks. Grzegorza B. winnego wielokrotnego naruszenia nietykalności cielesnej swojej parafianki, zniesławienia i znieważenia jej. Para-

fianka mocno angażowała się w życie Kościoła. Problemy zaczęły się wraz ze zmianą proboszcza. Nowy proboszcz ks. Grzegorz B. zachowywał się wobec niej niewłaściwie. Krótko mówiąc, chciał nawiązać relację, której parafianka nie chciała. A jak nie chciała, wzbudzała w nim agresję. Gdy poskarżyła się rzeszowskiej kurii, olali ją, a proboszcz dalej pełnił swoje funkcje. Aby przerwać napastliwe zachowanie księdza, złożyła w Sądzie Rejonowym w Jasle prywatny akt oskarżenia. Po ogłoszeniu wyroku kuria rzeszowska postąpiła jak zwykle: skazanego (na grzywnę) proboszcza przeniósł do innej parafii.

✦ Trzech na pięciu badanych w różnych krajach wierzy w Boga opisanego w świętych tekstach lub inną formę siły wyższej. IPSOS zapytał o religijność mieszkańców 26 państw. W badanych krajach 40 proc. respondentów deklaruje wiarę w Boga opisanego w świętych tekstach, a w Polsce zapewnia o tym 52 proc. Średnia wierzących w inną formę siły wyższej wynosi 20 proc., ale w Polsce tylko 12 proc. badanych podziela tę wiarę. 21 proc. badanych na świecie i 14 proc. w Polsce w ogóle nie wierzy w Boga ani świętą moc innego rodzaju. Jak to mówią, krzywa ateistów rośnie.

KLECHA

PS Na pożytek owieczek i baranków wszelej maści wybrałiśmy z mediów katolickich i bezbożnych.



Rękoczynny papieskie

Widmo Wojtyły krąży nad Polską, czyli co się odjaniepawliło w ostatnim czasie.

My się od tego papieża chyba już nigdy nie uwolnimy. Mogłoby się wydawać, że 18 lat po śmierci Lolka z Wadowic jest on już tylko postacią z memów, tematem przeruchanym bardziej niż poznaniacy klerycy w czasach świetności Paetza, budzącym emocje mniejsze niż bułgarska czwarta liga. Nic bardziej mylnego! Wojtyła ziębi i grzeje, budzi emocje skrajne: od miłości do umiłowania szkalowania go. Można za niego nawet w ryj dostać.

Lolek i Jaś

Przekonał się o tym publicysta, a ostatnio także zawodnik MMA, widywany także na naszych łamach Jaś Kapela. Otóż Kapela, podobnie jak wielu polskich patriotów i kryminalistów, ma tatuaż z papieżem. Zamiast zwyczajowego, zupełnie niepodobnego do siebie, wydzieranego więzienną kolką Jana Pawła z profilu lub en face, lewacki prowokator wykuł sobie na piersi symboliczne upamiętnienie wielkiego Polaka zakłęte w literkach „JP2GMD”. Oznacza to ni mniej, ni więcej, tylko: „Jan Paweł II gwałcił małe dzieci”. „Wydaje mi się oczywiste, że tatuaż to pewna metafora, nie chodzi o to, aby obrazić Jana Pawła II. Idzie raczej o zwrócenie uwagi na problem, jakim jest tuszowanie spraw pedofilskich w Kościele katolickim” – tłumaczył w rozmowie z portalem Wirtualnedia.pl. Siłę tej metafory miał okazję sprawdzić na własnej skórze.

Tatuaż bada już prokuratura pod kątem sławetnego art. 196 kk, czyli tego o obrazie uczuć religijnych. Pozew zapowiedział jakiś tam Tomasz Bartosiak z jakiejś tam Fundacji Patriotyzm i Wolność (willa od Czarnka sama nie przyjdzie, trzeba trochę poskakać na tylnych łapkach). Gdyby Kapela został skazany, przeszedłby odwrotną drogę niż większość polskich posiadaczy dziury z Wojtyłą, którzy upamiętniają go na swoim ciele dopiero po wyroku. Te lewaki wszystko robią na odwrót!

Lękajcie się!

Na razie działań prokuratury za bardzo nie widać, jak najbardziej widać za to efekty aktywności cywilnych obrońców czci JP2 – zwykłych Polaków wyznających tradycyjne wartości, którzy nie mogą przejść obojętnie wobec szkalowania papaja, jak ksiądz obok ministranta. Sąd sądem, ale sprawiedliwość musi być po stronie ulicy. Jaś Kapela dostał więc lutę na ryj od przechodnia, który – dumny ze swego osiągnięcia – umieścił filmik ze sprzedania liścia w sieci. Dobrze czytacie:

jakiś przypadkowy typ, udając, że chce sobie zrobić zdjęcie, podszedł do Kapeli i mu zajebał, nagrywając to wiekopomne zdarzenie niczym pierwszą komunie świętą. Kierując się uliczną zasadą prawidłniaków: „za papieża – rozerwę, za matkę – zabiję, za dziewczynę – spalę, za dychę – obciągnę”, typowy Seba chciał zaistnieć w necie i mu się udało.

Kapela po wszystkim napisał na Twitterze: „W ogóle nie ogarniam tych obrońców papieża. Co to jest za frajerstwo, żeby udawać, że chce się selfie, a jak człowiek odwróci się w inną stronę, to sprzedać gonga. W której encyklice Jan Paweł II do tego zachęcał? XD Ci polscy katolicy to jakaś podstępna i niebezpieczna sekta xD”.

Jaś Kapela bije się tylko za pieniądze i ku uciesze gawiedzi na galach MMA, więc napastnik nie został uraczony soczystą lepą na pysk w ramach lewackiego miłosierdzia. Chciał sprawę zgłosić na policję, ale – jak relacjonował potem – „policja nie



zajmuje się obrażeniami poniżej dni siedmiu bez powództwa prywatnego, więc jeśli widać, że gość nie pójdzie do sądu, to spokojnie można go potraktować gazem i poprawić pięściami. Byłe nie za mocno”. Zapowiada, że kolejny obrońca papaja na taryfę ulgową liczyć już nie może i zostanie potraktowany z wzajemnością. Swoją drogą ciekawa byłaby sytuacja, gdyby agresor został skazany za pobicie Kapeli za tatuaż, za który jego posiadacz został skazany, bo obraża uczucia religijne. No i ciekawe, czy obrażenia uczuć religijnych bolą tak samo jak pizda pod okiem, czy bardziej.

Papież i hieny

To niejedyna ostatnio bójka z Wojtyłą w tle. W Boże Ciało w Krakowie pobili się dwaj panowie

w miejskim autobusie, bo jeden z nich puścił z telefonu „Barke” na cały regulator. Ukochana pieśń Ojca Świętego nie przypadła do gustu innemu pasażerowi, który prosił o wyciszenie religijnego zawołania motywował bólem głowy – pierwszej nocy długiego weekendu nie jest to dla Polaka czymś nadzwyczajnym. Samozwańczy DJ z autobusu nocnego „Barki” ściszyć nie chciał, więc wkurwiony adwersarz postanowił wodzireja ogłuszyć i przyprawić o ból głowy pięściami. Interweniowała policja.

Dyrekcja interweniowała zaś w sprawie Andrzeja Skomorowskiego, nauczyciela w Centrum Kształcenia Zawodowego i Ustawicznego w Sosnowcu. Tzn. byłego nauczyciela. Zwolnili go m.in. za to, że puścił swoim uczniom reportaż „Franciszkańska 3” traktujący o odpowiedzialności największe-

go z Polaków za systemowe ukrywanie pedofilów w sutannach. Oficjalnie został zwolniony „za niewłaściwe budowanie relacji z uczniami”. Budowania właściwych relacji powinien się uczyć od księży.

Za wspomniany wyżej reportaż – to kolejny z bieżących wojtylizmów – Marcin Gutowski otrzymał zaszczytny tytuł Hieny Roku przyznawany przez Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich, dowodzone przez pisowczyka Krzysztofa Skowrońskiego. Na okoliczność obrony świętej pamięci JP2 reaktywowano tę – w mniemaniu przyznających – antynagrodę po ośmiu latach jej absencji w przestrzeni medialnej. Drugim laureatem został udający Polaka (tfu!) Holender Ekke Overbeek za książkę „Maxima culpa. Jan Paweł II wiedział”. Panowie zostali docenieni za „niewiarygodne i nierzetelne, niezgodne z etyką dziennikarską i zasadami dziennikarskiego profesjonalizmu oraz warsztatem badań historycznych publikacje atakujące św. Jana Pawła II”. Obu laureatom gratulujemy, a jednocześnie czujemy się trochę niedocenieni, bo nasza słynna okładka z papieżem też sporo namieszała, a Skowroński z kulawą nogą nas nie nagroził. Na szczęście zawsze możemy liczyć na Daniela Obajtkę.

Postać Wojtyły przewinęła się też w branży marketingowej. Firma Cropp zrobiła promocję „30 procent na produkty nieprzecenione przy zakupach powyżej 99 zł dla pierwszych 2137 osób! Twój kod to: YELLOW30”. Wykorzystane są tu dwa memowopapieskie motywy. Liczba „papieżowa” 2137 (godzina śmierci JP2) i yellow, czyli żółty – w memach papieska twarz przybiera ten kolor, widniejący na fładze Watykanu. Rozpętała się w sieci taka gównoburza, że firma zmieniła reguły promocji, a rzeczniczka Croppa stwierdziła, że zbieżność z beką z papaja była przypadkowa.

Okno nieżyćcia

Nieco mniej śmiesznie jest, gdy pojawiają się słuchy o tym, że

w szpitalach noszących imię (czy może raczej: pod wezwaniem) Jana Pawła II nie wykonuje się aborcji, bo aby nabyć prawo do ochrzcenia placówki medycznej tym imieniem, trzeba się wyrzec demona skrobienia. To może kosztować życie kobiet. Ale Wojtyła lubował się w takich akcjach

za życia: a to miał w dupie epidemię AIDS w Afryce, która była mniejszym złem niż kondomy, a to zgwałconym podczas wojny Bośniaczkom kazał rodzic, bo „mające się narodzić dziecko nie ponosi żadnej odpowiedzialności za to, co się wydarzyło i co zastruguje na potępienie, jest zatem niewinne i nie może być w żadnym przypadku uważane za agresora”. Śpiewał o tym Jacek Kaczmarski: „W Watykanie papież draży boski aspekt całokształtu. Nie pozwala przerwać ciąży, która jest efektem gwałtu”. Pogrobowcy JP2 godnie kontynuują jego dzieło. Tylko kobit żal.

To tylko kilka przykładów odradzającej się wojtyłomanii z ostatnich tygodni. Czeka nas zapewne jeszcze wiele atrakcji. Trumna Wojtyły dzieli Polaków bardziej niż trumna Piłsudskiego i Dmowskiego.

ŁUKASZ PIOTROWICZ

Z CZARNEJ DUPY SIĘ WYRWAŁO

Stoimy dziś przed wyzwaniem, **jaka będzie Polska**, na jakich wartościach będzie budowana, kto będzie decydował o jej przyszłości, czy zapewniona zostanie jej suwerenność duchowa i polityczna. To wielkie wyzwanie, jakie stawia przed nami dzisiejszy czas.

abp Marek Jędraszewski, homilia, 20 czerwca

Wszystko, co godzi w samo życie, jak wszelkiego rodzaju zabójstwa, ludobójstwa, **spędzanie płodu, eutanazja** [...] wszystkie te i tym podobne sprawy i praktyki są czymś **haniebnym**; zakazując cywilizację ludzką bardziej hańbią tych, którzy się ich dopuszczają, niż tych, którzy doznają krzywdy, i są jak najbardziej sprzeczne z czcią należną Stwórcy.

abp Stanisław Gądecki, homilia, 18 czerwca

Ustawa łamiąca naturalne prawo dziecka do życia jest niesprawiedliwa. Każdy

poseł, który głosi przeciwko życiu, popełnia grzech ciężki, a tym samym nie może przystępować do komunii św.

dalej Gądecki

Z jednej strony mamy **Narodowy Marsz dla Życia** i Rodziny przywiązany do miłości rozumianej jako branie odpowiedzialności za drugiego człowieka. To jest pewne wyzwanie, do którego trzeba dorosnąć, dojrzeć i do którego, gdy się człowiek poświęci, to odzyskuje prawdziwy sens życia. Natomiast z drugiej strony mamy **parady równości** – takie podejście, które jest właściwe dla bardzo egoistycznych, bardzo **hedonistycznych stylów myślenia**, kiedy chcemy się wiecznie bawić, chcemy być wiecznie młodzi i zerwać z normami, które mogłyby nas w jakikolwiek sposób ograniczać.

prof. Arkadiusz Jabłoński, Radio Maryja, 25 czerwca

Jedyne, co jest rozsądne, to **bronić tego, co tradycyjne**, ważne, do czego większość z nas dorasta lub dorośnie i traktować to, co się dzieje obok, jako dopuszczalne, ale jednak marginalne. Czemu dobrze jest przeciwstawić taki obraz jak chociażby Marsz dla Życia i Ro-

dziny, aby w przestrzeni publicznej była zachowana jakaś równowaga.

dalej Jabłoński

Komisja Europejska i Unia od dawna kierują się **wskazaniami rasiistowskimi**, dlatego że już w propozycji dotyczącej pakietu migracyjnego kazały płacić Polsce za każdego nieprzjętego migranta, który pochodzi z rejonu Afryki, 22 tys. euro, natomiast na Ukraińców, czyli prawdziwych uchodźców wojennych, dali nam 100 euro na jednego.

Patryk Jaki, Radio Maryja, 23 czerwca

Znamy z historii powieści różnych europejskich liderów o tym, że są **lepsze i gorsze kultury**. **Adolf Hitler** był jednym z takich właśnie, którzy uważali, że polska kultura jest gorsza i dlatego trzeba Polskę zniszczyć. Tak uważał również Bismarck czy Fryderyk II. Problem polega na tym, że widać, iż zmieniły się czasy, są inne narzędzia, ale **sposób myślenia jest nadal taki sam** – taki, jak był kiedyś. Uważam, że jest to ogromny wstyd dla Europy, iż dzisiaj dalej próbują wartościować ludzi na tych, za których można płacić więcej, i tych, za których można płacić mniej.

dalej Jaki

Od wielu wieków w **niemiecką kulturę** bardzo mocno wpisany jest **antypolonizm**, który wciąż jest bardzo obecny w niemieckim społeczeństwie i niejednokrotnie świadomie podsycany przez tamtejsze władze. Celem Niemiec aż do 1945 roku było zniszczenie Polski, natomiast po 1945 roku antypolonizm nadal był podsycany również w kontekście utraty tzw. Ziemi Odzyskanych. Do dziś nie nastąpiła w Niemczech choćby próba rozliczenia się z antypolonizmem. Oczywiście Niemcy też mają swoich „dobrych Polaków”. I takim dobrym Polakiem z punktu widzenia Niemiec jest **Donald Tusk** i jego akolici. Z nimi można współpracować, bo ta współpraca polega na podporządkowaniu się Niemcom. I takiej postawy właśnie Niemcy szukają w Polsce. Dlatego Niemcy stawiają na tych „dobrych Polaków”. Po 1990 roku Niemcy nie tylko opanowali w Polsce rynek medialny i za jego pomocą przez lata kreowali pozytywny wizerunek Niemiec w Polsce, ale również świadomie korumpowali państwo polskie.

prof. Bogdan Musiał, Fronda.pl, 26 czerwca

Wybrał W.K.

Gra w cenzurę

Gdzie jest granica politycznej poprawności?

Kiedy zaczynałam pisać o polityce 33 lata temu, w cenzurze służyli pracownicy. I nie mam na myśli Głównego Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk, który zdążył już wtedy wyznaczyć ducha, tylko spontaniczną policję myśli, która stoi na straży tego, co, jak i o kim wolno mówić. W latach 90. zapis cenzorski obejmował wszelkie nienabożne wypowiedzi na temat papieża Polaka, Maryi Dziewicy i Chrystusa Króla (w tej kolejności), a także Kościoła Matki Naszej i Bohaterskiego Narodu Polskiego. Papizm i jego polityczne agendy, z ZChN-em na czele, z najwyższą czujnością tropiły wszelką nieprawomyślność, każdy cień humoru czy – nie daj Boże nieistniejący – ironii, wymierzone w te świętości.

Dziś piłka znalazła się po naszej stronie boiska.

Ja to się, kurwa, stało?

Płec Jaconia

Wcale nie jest mi smutno, że Krzysztof Daukszewicz odszedł (a tak naprawdę został wygryziony) ze „Szkła kontaktowego”. Albowiem wielbię Daukszewicza i nie znoszę „Szkła kontaktowego” – słuchanie telefonów od widzów wzbudza we mnie głębokie zażenowanie – toteż uważam, że szkoda czasu wybitnego artysty. Może mógłby w tym czasie napisać piosenkę albo zagrać koncert, na który wreszcie uda mi się kupić bilety?

Ale niezależnie od powyższego nie sądzicie, że coś złego stało się z naszą tzw. postępową stroną, która zlincolniała satyrę za dowcip?

Jakby ktoś nie słyszał (zazdroszczę): w połowie maja pod koniec „Szkła kontaktowego” był segment złożony z wrednych albo tylko głupich wypowiedzi kaczystów na temat płci: począwszy od słynnego żarciku prezesa: „byłem mężczyzną, ale teraz jestem kobietą”, poprzez dokonane przez wice-Ziobę błyskotliwe rozwinięcie: „ja się czuję kobietą, więc niech pani do mnie mówi Zosia Wójcik”, a na głębokiej mądrości wiceministra Skurkiewicza skończywszy: „co piąta kobieta w wojskach terytorialnych to kobieta”. Potem Sianecki zapowiedział red. Piotra Jaconia, który miał zareklamować swój program, następny w kolejce.

JAK TEN CZAS LECI,
JESZCZE NIEDAWNO
BYŁAM CHŁOPEM



I Daukszewicz w kontekście poprzednich enuncjacji zapytał: „A jakiej płci on dzisiaj jest?”. I stało się nieszczęście, bo Jacoń ma transpłciowe dziecko, o czym Daukszewicz ewidentnie nie pamiętał albo nie wiedział.

Pierdolałem głupotę

Jacoń zeszytywniał na ekranie, Sianecki udawał, że się nic nie stało, Daukszewicz natychmiast podsumował: „Chyba pierdolałem głupotę”, ale lawina ruszyła. Jacoń odmówił przyjęcia przeprosin Daukszewicza, ponieważ były „pokątne” – co oznacza, że satyryk podszedł do niego po programie i powiedział, że przeprosza – i nagle postępowy internet postanowił skancelować Daukszewicza za transfobię, co w końcu, ostatnio, skłoniło go do odejścia ze „Szkła”. Z lojalności odeszli Artur Andrus i Robert Górski (szacun), co odbędzie się z niewątpliwą stratą dla programu. Ale to mnie mniej obchodzi.

Bardziej nurtuje mnie pytanie: Towarzysze Frontu Postępu, czy wyście ochucili?

Krzysztof Daukszewicz jest tym unikalnym typem satyryka, który nie ma – jak mówią Amerykanie – ani jednej podłej kości w swoim ciele. Nigdy nie słysza-

łam, żeby powiedział albo napisał coś, co byłoby okrutne, upokarzające albo celowo nastawione na zranienie kogoś, a słucham go z żarliwym entuzjazmem od lat 80. Jego żarty są subtelne i przeważnie autoironiczne, jak w genialnym kawałku, w którym autor używa brzydkich słów, albowiem cytuję „urzędników ministerstwa sprawiedliwości z grupy »Kasta«”: „No i jeszcze będę dla nich jakimś wyjątkowym chujem, bo ja nie mam komputera i nikogo nie hejtuję”...

No nie hejtuję. Ani nawet nie obraża.

Misja satyryka

Ale choćby nawet, to co? Misja satyryka polega na darciu łacha z wszelkiego rodzaju tabu. Gdyby satyrycy żartowali tylko z tego, z czego wolno żartować, byłaby to bardzo smutna satyra. W mojej ukochanej Polsce Ludowej też były elementy ustroju, z których można było drwić w oficjalnych mediach, na przykład biurokracja. Czy chcemy, żeby jakaś odgórna poprawność – polityczna czy jakakolwiek inna – mówiła nam, z czego można się śmiać?

Doskonale rozumiem, że są grupy, które w pisowskiej Polsce mają prawo czuć się prześladowane, co jest haniebne. Osoby transpłciowe niewątpliwie są na

pierwszej linii ognia. Ale czy to znaczy, że w ramach walki o swoje prawa mają kancelować innych?

Tę batalię od kilku lat toczy z postępową policją myśli inny mój ukochany satyryk Ricky Gervais: angielski aktor i standuper, jeden z najbłyskotliwszych głosów ateizmu i walki z bigoterią. Ricky – w odróżnieniu od Daukszewicza – bywa szczerze wredny i rozumiem, że obiekty jego drwin mogą się poczuć dotknięci.

Ale co, kurwa, z tego?

Komiccy plują nienawiścią

Po ostatnim stand-upie Gervaisa „Supernatural” na Netflixie amerykańska organizacja na rzecz praw osób LGBTQ o nazwie Glaad wyraziła oficjalne oburzenie.

Błuznierstwo Gervaisa brzmiało mniej więcej tak: „Ech, te staromodne kobiety. Wiecie, te z łonami. Co za pierdolone dinozaury. Kocham nowe kobiety: te z brodami i fiutami”. I jeszcze do tego zadrwił z dyskusji na temat dostępu do kibli: „Oni chcą używać naszych toalet! A dlaczego nie? Bo to toalety dla pań! To są panie, popatrzcie na ich zamki! Co w tej osobie nie jest kobiecie? Jego penis. Jej penis, ty pierdolony bigocie!”... Co prawda w następnym zdaniu

Gervais dodał: „Oczywiście, w życiu popieram prawa osób trans” – ale to nikogo nie zadowoliło.

„Netflix ma oficjalne zasady polityki programowej, zgodnie z którymi treści »nacelowane na podżeganie do nienawiści lub przemocy« nie są dozwolone na ich platformie, a wszyscy wiemy, że treści anty-LGBTQ to właśnie robią. Chociaż Netflix jest źródłem przełomowych programów LGBTQ, odmawia egzekwowania swojej własnej polityki w komedii. Społeczność LGBTQ i nasi sojusznicy jasno stwierdzają, że tak zwani komiccy, którzy plują nienawiścią zamiast humorem, oraz firmy medialne, które dostarczają im platformę, zostaną pociągnięci do odpowiedzialności. Tymczasem jest MNÓSTWO zabawnych komików LGBTQ, którzy zasługują na wsparcie” – napisała grupa Glaad. Czujecie lekką groźbę? Nie tylko wymierzona w Netflix i inne platformy streamingowe, które ośmieliły się nie cenzurować Gervaisa, ale także w widownię, która śmieje się nie z tego, z czego należy.

Tabu do gazu

Dla porządku: rzeczywiście jest mnóstwo wspaniałych, błyskotliwych, nieheteronormatywnych standuperów, których oglądam z zachwytem: Bowen Yang, Hannah Gadsby, Joel Kim Booster, Fortune Feimster, Simon Amstell, Tig Notaro, Mae Martin...

Nie, nie wyszukałam ich przed chwilą w Google, jestem autentyczną fanką antysystemowego stand-upu, w którym osoby nieheteronormatywne są absolutnymi mistrzami: nikt lepiej nie potrafi sponiewierać norm obyczajowych amerykańskiego społeczeństwa.

Ale to, do kurwy nędzy, nie znaczy, że nie może mnie śmieszyć Ricky Gervais, którego wielkość polega na tym, że naprawdę nie uznaje tabu. „Mówię o AIDS, głodzie, raku, holokaście, gwałcie, pedofilii... Jedyną rzeczą, z której nigdy nie wolno żartować, jest temat transseksualizmu? Skoro chcą być traktowani równo, to tak ich traktuję” – odpowiedział na całą tę gównoburzę.

Krzysztof Daukszewicz, który jest przede wszystkim poetą, piszącym przepiękne liryczne teksty (serio, posłuchajcie „Ballady o martwej naturze na emeryturze”, „Bluesa śpiewanego na stojąco w d-moll” albo „Jesieni”), nie jest twardelem jak Ricky Gervais. Za to kocham go nawet bardziej.

Pierdolicie się, policjo myśli!

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA

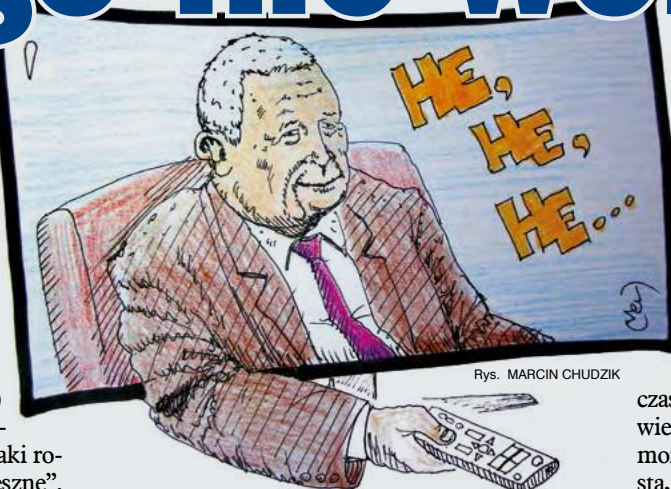
ETYKA BEZBOŻNA

Jesteśmy pismem satyrycznym i raczej nikogo nie oszczędzamy. Nasze teksty bywają ostre, ironiczne, przerysowane, a więc w jakiś sposób niesprawiedliwe. A jednak piszemy je, bo wydaje się nam, że takie jest prawo gatunku, czyli nasza licentia poetica. Są tacy, którym wolno więcej. Komu? Na pewno artystom. Ale czy satyrykom również? Chyba tak, bo bez „licencji na zabijanie słowem” nie mogliby uprawiać swojej sztuki. Stosunek do artystów i satyryków jest miarą tego, ile w danym społeczeństwie jest prawdziwej wolności. I chociaż może ten patos jest akurat tutaj zupełnie nie na miejscu, ale co zrobić, skoro taka jest prawda: satyrycy są strażnikami wolności.

Jako człowiek, który swym piórem wielu ludziom sprawił mniej czy bardziej zasłużoną, a czasami może niezasłużoną przykrość, ciągany za to po różnych urzędowych miejscach, solidaryzuję się z Krzysztofem Daukszewiczem, który musiał zrezygnować z prowadzenia programu „Szkło kontaktowe”, bo pozwolił sobie zażartować z Kaczyńskiego, opowiadającego raz za razem, jak to dzisiaj każdy może sobie z dnia na dzień zmieniać płec. Głupie gadanie Kaczyńskiego jest całkowicie bezkarne, podobnie jak wszystkie łajdactwa, których się dopuszcza, za to wyśmiewający to dziennikarz-saty-

ryk musi ponieść konsekwencje. A stało się tak dlatego, że jego kolega Piotr Jacoń, ojciec transpłciowego dziecka, okazał się trochę niewyglupiały i zabolowało go, gdy Daukszewicz zapytał na antenie: „Jakiej płci on dzisiaj jest?”. Inteligentny człowiek doskonale rozumie, że żart wycelowany był w Kaczyńskiego, a nie w osoby transpłciowe. Nie są jednak są tacy wśród nas, którzy uważają, że z transpłciowości nigdy i pod żadnym pozorem nie można sobie żartować, nawet w tym sensie, że żartując sobie z tzw. transfobii (pogardy dla osób transpłciowych) wciąga się sam temat transpłciowości w kontekst żartu. Zapewne Piotr Jacoń przejawia taki rodzaj wrażliwości. Dla niego „to nie jest śmieszne”. Nie jest śmieszne to, co gada Kaczyński, lecz również i robienie sobie z jego transfobii żartów. Bo dla niego temat ten nie jest „lekki” i w żadnym przypadku nie może być „lekko traktowany”.

Przez solidarność z Krzysztofem Daukszewiczem z programu odeszli również Robert Górski i Artur Andrus. Podziwiam ich za ten gest, a jednocześnie odczytuję go jako bardziej ogólny protest przeciwko urzędowemu ponuractwu, tępemu brankowi poczucia humoru, bufonadzie i narcyzmowi,



odbierającym ludziom zdolność do spojrzenia na siebie z dystansu. To okropne cechy, sprawiające, że ludzie inteligentni i dowcipni czują się osaczeni i zniewoleni.

Bo humor zawsze ma w sobie coś z przesady i dokazywania. A przy tym odwołuje się do dwóch naszych wewnętrznych skarbów: wolności i inteligencji. Owo wesołe i bystre dokazywanie nazywa się transgresja. Po naszymu: przekraczanie granic. Śmiech uwalnia na chwilę od zbyt mocno

pętających nas konwencji i norm społecznych, oczyszcza i relaksuje. Bardzo go potrzebujemy, chociaż zawsze jest trochę anarchiczny i jakby nielegalny. A skoro tak, to zawsze może się znaleźć ktoś, kto w imieniu oficjalnego świata powie: „Nie ma się z czego śmiać!”.

Satyryków trzeba bronić, tak samo jak trzeba bronić artystów, ale nie znaczy to, że wcale nie ma takich tematów, z których nigdy się nie żartuje ani nie traktuje lekko. Można by pomyśleć, że takim zakazany tematem nie do śmiechu są wojna i ludobójstwa. Tymczasem okazuje się, że nie. Nawet ludobójstwa po wielu dekadach bywają tematem komedii, choć nie może to być żadna tania rozrywka, lecz nieoczywista, zaskakująca forma ujęcia spraw arcyważnych i traumatycznych. Dysjonans między śmiechem a rozpaczą należy do arsenału sztuki. Skoro nie zbrodnie, to co jest tabu dla satyry czy komedii?

Sądzę, że taką granicą jest psychiczna bezbronność ofiary. Gdy ktoś staje się ofiarą, bo jest zbyt słaby, żeby się bronić w sensie moralnym, a nawet zrozumieć swoją krzywdę, to nie możemy tego kogoś wciągać w kontekst komiczny czy ironiczny. Dlaczego? Bo taka osoba, na przykład przykrywdzone dziecko albo chory psychicznie, może sama nie

O tym, jak przewrażliwienie zabija satyryków (i nie tylko).

Krzysztof Daukszewicz odchodzi ze „Szkła kontaktowego” nie dlatego, że został zaszczuty i musi, ale dlatego, że chce – taki wniosek można wyciągnąć z nagłej zmiany frontu przez znanego satyryka (o szczegółach konfliktu Daukszewicz–Jacoń pisze obok Agnieszka Wołk-Łaniewska). Jak poinformował portal Wirtualnemedia.pl, powołując się na wpis na facebookowym profilu Daukszewicza, satyrykowi zaproponowano rzadszy udział w „Szkle kontaktowym”, na co on się nie zgodził i odszedł. „Dzisiaj czuję się tak silny jak Mołdawia po meczu z Polską, więc po przeczytaniu wszystkich ataków na moją osobę oświadczam, że jeszcze się nie urodził taki pan Jacoń, który by ze mnie zrobił trans- i homofoba” – cytuje serwis słowa Daukszewicza. Dziwne, bo ten do tej pory utrzymywał, że odchodzi, gdyż stał się ofiarą hejtu, który się na niego wylał, a Jaconia nazwał katem.

Jest zasadnicza różnica pomiędzy zaszczutą przez kata i wspierających go hejterów ofiarą a kimś silnym jak Mołdawia, któremu taki kat Jacoń może co najwyżej skoczyć. Dlatego postawę Daukszewicza odbieram jako nieszczera. Widzę tu urażone ego, które zamiast zrozumieć swój nietakt i przeprosić, nawet poniewczasie, to kombinuje, idzie w zaparte, unosi się, tupie nóżką, rozpiędziela zabawki i ucieka z piaskownicy, a za nim – z placem – kilku innych chłopaków.

Rykoszet

Zalóżmy jednak, że hejt rzeczywiście dotknął Daukszewicza. Pan satyryk na własne życzenie mógł więc choć przez chwilę poczuć to, co dla osób trans jest wymuszoną codziennością przez całe lata, a bywa, że i całe życie, jeżeli swoją transpłciowość ujawnia. A jeżeli nie ujawnia, to... myślicie, że mają święty spokój? Nie, też nie mają. Żyją i cierpią w ukryciu, głównie dlatego, że swojej tożsamości nie mogą ujawnić w obawie przed konsekwencjami, m.in. takimi jak żartowanie z osób trans. Błędne koło! Tak czy siak, przesrane.

Jak na ironię, w tej zadymie rykoszetem dostają osoby trans, które do sprawy prawie się nie odnosiły, a ich udział w niej był żaden. Teraz okazuje się, że to one wykończyły znanego satyryka, który co prawda wyrzucił się z programu sam, ale to mało istotny szczegół, prawda?! To pod adresem osób trans słychać oskarżenia o przewrażliwienie na własnym punkcie, brak dystansu, terroryzowanie poprawnością polityczną, próby cenzury, ograniczanie wolności słowa itp. Mają czuć się winne, bo są zbyt wrażliwe i nie mają dystansu (och, ten tekst o braku dystansu to ulubione powiedzonko wszystkich dziadersów), mają przeproszać, że żyją i nie dają żyć wąsatemu wujowi z telewizora.

Bo przecież nie ma tabu, jest wolność słowa, więc my tu sobie tak żartujemy, z czego popadnie, no i komu to przeszkadza?!

A czy osoby trans są rzeczywiście przewrażliwione i bez dystansu? Niektóre tak, niektóre nie. Niektóre bardziej, niektóre mniej, jak to u ludzi. Ale tak samo byłoby z każdym, kto znalazłby się na ich miejscu. Zresztą ludzie stają się przewrażliwieni i tracą dystans z tysiącami innych lub bardziej blących powodów: bo pogoda nie taka, bo potykamy się na prostej drodze, bo autobus się spóźnia, bo szef terrorysta, bo kłótnia z żoną/mężem, bo wszystko leci z rąk, bo jesteśmy nie tacy, jacy chcielibyśmy być, bo kot dostał sraczkę, bo chlapnęliśmy w programie telewizyjnym głupotę i nie umiemy z tego wybrnąć z twarzą... Robimy to perfekcyjnie, wszyscy. Ale to

Śmiać?

być w stanie zrozumieć ironii bądź komizmu, do którego została użyta. Śmiać się można tylko z tych, którzy mają wystarczające możliwości, aby zrozumieć ironię i komizm, gdyż w przeciwnym razie osoba taka zostaje nieuczciwie wykorzystana przez innych, którzy niejako bawią się jej kosztem, a w każdym razie dokonują na niej manipulacji, tak jak gdyby była raczej rzeczą niż człowiekiem.

Nie wiem, czy dziecko Piotra Jaconia jest na tyle dorosłe i dojrzałe, aby zrozumieć żart i swoją autonomię, odpornością psychiczną stawić mu czoła. Podejrzewam, że tak, bo transpłciowy coming out wymaga znacznego stopnia samoświadomości. Zapewne więc Piotr Jacoń nie miał racji, nie godząc się na pozostawanie w zaproponowanej konwencji satyry. Krzysztof Daukszewicz, jak sądzę, stał się ofiarą pewnego rodzaju pruderii i przewrażliwienia. Być może wystarczyło powiedzieć: „Nie żartujmy z tego, bo może to ranić niektóre osoby transpłciowe, którym jest nie do śmiechu”. Stawianie granic to trudna sztuka. Zbyt często stawiamy je w taki sposób, że niechący ucinamy komuś głowę.

JAN HARTMAN

Dystans, babe!



Jeżeli sam nie potrafi wymyślić nic oryginalniejszego, to powtarzając po nim, po prostu normatywizuje jego rojenia. Pokazuje nie tylko to, że jest słabym satyrykiem, ale też że śmieszkowanie z wykluczonych jest OK. Inteligentny człowiek (a przecież trudno nawet dopuścić cię myśl, że Daukszewicz nim nie jest) powinien umieć przewidzieć, że niewielu zrozumie to jako trawestowanie słów prezesa, a większość – jako robienie tego samego, co Umiłowany Przywódca. I potem trzeba wyjaśniać, co autor miał na myśli.

Mokre sny

Oburzenie części opinii publicznej na Daukszewicza nie jest bez przyczyny, bo żarty z transpłciowości i osób transpłciowych to ulubiony motyw w repertuarze różnych żartownisiów w Polsce i na całym świecie. Wśród tych dowcipasów poczesne miejsce zajmują te o kobietach z penisami. Rozumiecie?! To jest śmieszne, że transkobieta ma penisa! I dlatego się z niej żartuje, najczęściej zresztą podając w wątpliwość jej kobiecość, co – jak się wydaje – jest rzeczywistym, a więc transfobicznym celem tych niewinnych żarcików. No bo jak to? Kobieta i ma penisa? Przecież to oczywiste, że jeżeli ma penisa, to jest facetem! Ha, ha, ha!

Drodzy komediani i wszyscy faceci solidaryzujący się z trefniasiami kneblowanymi przez złych transów, wyobraźcie sobie otóż, że tak właśnie bywa, że transkobieta ma penisa. Mówi wam to nie kto inny, tylko transkobieta. I dlatego transkobieta jest transkobietą, że z tym penisem się urodziła i ma go przynajmniej do czasu. Co ma niby mieć w tym miejscu? Wędzoną makrelę? Gdyby urodziła się z waginą, to nie byłaby transkobietą – takie proste, a takie trudne do pojęcia! Tak jak i to, że fakt posiadania tego penisa nie czyni z niej automatycznie mężczyzną, bo o płci nie decyduje to, co się ma między nogami, tylko między uszami.

Że transkobiety z penisami bywają dla sporej części (jeśli nie większości) heteroseksualnych facetów obiektami westchnień, fantazji i mokrych snów, tego już oczywiście żaden z was nie przyzna. Boicie się, co by ludzie powiedzieli, gdyby nagle się okazało, że heteroseksualny facet chce z babą z fiutem...

Być może dlatego tak zajmują was te żarty. Wiadomo: dowcipkując, odsuwać od siebie podejrzenie, że może jesteście bardziej bezpośrednio zainteresowani ich przedmiotem. Tym samym podszyte bywają też drwiny z gejów, choć niejeden z was nie wypędziłby z łózka męczyzny przystojnego a hojnie obdarzonego.

To może zrobićmy tak: jeżeli chcecie, żeby było śmiesznie, to opowiadajcie dowcipy o męskich fantazjach i pragnieniach względem osób trans, zwłaszcza transkobiet z penisami (ale także np. innych mężczyzn). Żartujcie z własnej hipokryzji, uprzedzeń i fałszywego wstydu. Będzie naprawdę wesoło! Przy okazji wykażecie się tym, czego tak żądacie od osób trans: dystansem do siebie, brakiem tabu i przewrażliwienia na własnym punkcie. A gdy my, osoby trans, przestaniemy być dla was fetyszem i mokrymi snami albo marginesem, dziwadłami, zboczeńcami, zjawiskami z innego wymiaru, za to staniemy się kumplami, kolegami, przyjaciółmi, sąsiadami, znajomymi, współpracownikami, partnerami (i jeszcze otrzymamy pełnię praw, którą wy się cieszyacie), to wtedy razem zaczniemy żartować także z transpłciowości. Stoi?

EDYTA BAKER

WIEŚCI GMINNE i INNE

■ Kajakarze z Bydgoszczy, Torunia i Janowca Wielkopolskiego wystąpili do dyrekcji portu Nowy Świat (tak się oficjalnie nazywa) o zezwolenie na przepłynięcie śluzu na przekopie Mierzei Wiślanej. Otrzymali zgodę po dwóch tygodniach pod warunkiem, że kajaki będą wyposażone w radiostację UKF, a spust śluzu będzie się odbywał w asyście łodzi motorowej. Kajakarze tych warunków nie spełnili. Nie zostali do śluzu wypuszczeni. Przenieśli więc kajaki na ramionach. Incydent rzuca nowe światło na niskie zainteresowanie użytkowaniem tej uznawanej za niepotrzebną inwestycji. Może w istocie przekop jest potrzebny, tylko zmienić trzeba dyrekcję portu Nowy Świat na wyrozumiałszą.

■ Cztery składy typu EN57 należące do spółki Polregio stały na bocznicach w Lesznie przez nikogo niepilnowane. Sprowokowało to dwóch chłopców do porzucenia wakacyjnej nudy. Nastolatki zdeprawowali pociągi młotkami, które znaleźli na bocznicach. Wstawienie nowych szyb i okien, zakup nowych elektronicznych tablic informacyjnych i sprzętu gaśniczego ma kosztować 500 tys. zł. Nie chodzi nam o ten szczególny incydent. Chodzi o to, że o tej porze roku wasze samochody, portfele i rowery narażone są na nadzwyczajnie niebezpieczeństwo – bo nuda jest nie do wytrzymania.

■ Drobny chuligan Michał Kostecki, lat 36, konwojowany z zakładu karnego w Grójcu na rozprawę sądową w Piasecznie, pobił wyspecjalizowaną w takich konwojach załogę furgonu więziennego i zbiegł. Bił do nieprzytomności kajdankami, które miał na nadgarstkach. Ubrany w białą koszulę i czerwone spodnie ukradł następnie motocykl. Porzucony motocykl już odnaleziono. Spryciarza jeszcze nie.

■ 39-letni Jakub z Górki Duchownej w Wielkopolsce został zastrzelony we Francji. Pracował w zakładzie lakierniczym w miejscowości Tain-l'Hermitage w regionie Owernia-Rodan-Alpy. Po trzech miesiącach upomniał się o zaległą wypłatę. Francuski kapitalista oddał dwa strzały. W rezultacie drugiego ranił blacharza lakiernika wykrwawił się na śmierć. Osierocił 10-letnią córkę.

■ Dzieci z przedszkola Niezapominajka w Słupsku zabrano na wycieczkę do domu strachów, który znajduje się na terenie Parku Dinosaurów w Łebie. Strach był taki, że gówniarze popuścili w spodnie, zwieracze odmówiły im posłuszeństwa, a tży lały się jak woda z rynien po burzy. Pedagodzy tłumaczyli rodzicom zastraszonych, że oswajają dzieci z traumą, która przecież towarzyszyć im będzie do końca życia.

■ Polska rakietą suborbitalną Perun, którą prywatna spółka SpaceForest z Gdyni budowała przez dziewięć lat za ponad 8 mln zł publicznych pieniędzy, odbyła próbny lot z Centralnego Poligonu Sił Powietrznych w Ustce. Lot zakończył się połowicznym sukcesem. Rakietę wystartowała. Zgodnie z założeniami tytułem próby miała wznieść się na 50 km. Nie udało się. Konstruktorzy utrzymują, że osiągała pułap 22 km, kiedy „wdrożono procedury awaryjnego przzerwiania lotu”. Znacząco coś się spierdoliło. Szczątki tego cudu techniki w sposób planowy i nikomu niezagrożący spadły na ziemię. Świadczy to o poważnych ograniczeniach naszej inżynierii kosmicznej. Tamy znajdują się w inżynierijnych głowach.

■ Pracownicy poznańskiego McDonald'sa znajdując się w miejscowym centrum handlowym Ave-nida założyli związek zawodowy Solidarność. Domagali się płatnej 30-minutowej przerwy oraz podwyżki stawki godzinowej za pracę z 21 na 22 zł. Globalna korporacja sfłamsiła słuszne postulaty ludzi pracy najemnej w zarodku. Związkowcy stracili robotę. Nic nie zyskali. Jedzenie hamburgerów nie jest z gruntu złe, ale nie należy udawać, że się nie wie, iż stoją za tym męczeństwo zwierząt, wyzysk człowieka przez człowieka, otyłość, miażdżyca, ataki serca oraz udary mózgow. Takie właśnie są hamburgery.

■ Słynna katowicka cukiernia, sygnowana nazwiskiem Adama Mrozka, przy ul. Tomasza 12 przechodzi do historii. Właściciele poinformowali o zamknięciu biznesu założonego w 1936 r., czyli 87 lat temu. Hitler ich nie zagazował. Stalin nie rozkułaczył. Gomulka nie skolektyzował. Przeżyli cukier na kartki za Jaruzelskiego i sankcje Reagana. Cwaniactwo Balcerowicza. Postkomunę i pawlakostwo. PiS-owi nie dali rady. „Już nie mamy siły kombinować” – wyjaśnia motyw wyzysku trójpokoleniowej tradycji rodzina Mrozków.

RJ

Rubrykę sporządzamy w oparciu o najsmakowitsze informacje z prasy terenowej. Są one zatem prawdziwe na tyle, na ile dziennikarzy lokalnych na prawdziwość stać. Odzegnujemy się od wszelkiej odpowiedzialności za niestrawności, gdyby któryś z lokalnych składników Państwu zaszkodził.

Komik walczący

Wewnętrzna wojna prezydenta Zełenskigo

Zełenski zbudował swoją karierę jako telewizyjny komik i aktor. Przypomnijmy, że był producen-tem, scenarzystą i główną gwiazdą niezwykle popularnego show komediowego „Wieczorny kwartał” („WK”). Nie było ono bynajmniej niewinnym nabijaniem się ze skorumpowanej i chwilami kuriozalnej klasy politycznej jako takiej, lecz stało się trampoliną kariery Zełenskigo. Warto przybliżyć ustalenia analizy „WK” z lat 2017–2018 pióra Natalii Ryabinskiej, opublikowanej w naukowym piśmie „Problems of Post-Communism”.

Po pierwsze, komik Zełenski celnie punktował najważniejsze postacie rodzimej polityki: ówczesnego prezydenta Petra Poroszenkę, premiera Wołodymyra Grojsmana i przewodniczącego parlamentu Andrija Parubija. Dostawało się również liderom niektórych partii, w tym Julii Tymoszenko i Arsenijowi Jaceniukowi.

Po drugie, „WK” niekiedy odnosił się do podkopujących ukraińską demokrację skandali korupcyjnych, nade wszystko do sprawy szefa służb podatkowych Romana Nasirowa oskarżonego o defraudację ok. 75 mln dolarów, a przez lata śmiejącego się z wymiaru sprawiedliwości.

Po trzecie, co zaskakujące, najczęściej atakowanym przez Zełenskigo politykiem był Witalij Kliczko, osoba spoza wierchuszki ukraińskiej poli-

tyki. Stołeczny mer przedstawiany był widzom jako czystej wody głupek, chłopak do bicia, zachowujący się wręcz jak dziecko. Osoba, którą wszyscy inni traktują z pobłażaniem. Jak zauważa Ryabinska, „Kliczko został przedstawiony w jednym z odcinków jako przynoszący psa zabawkę na wystawę psów i traktujący go jak żywe zwierzę, jakby nie potrafił odróżnić zabawki od prawdziwego psa. Komik podszywający się pod Kliczkę wywoływał śmiech gagami, w których kolejno wydawał zabawkowemu psu komendy – siad, leżeć i szczekać”.

Kiedy Zełenski w 2019 r. pokonał Poroszenkę, z którym współpracował Kliczko, postanowił rozprawić się z merem Kijowa. Warto zauważyć, że zgodnie z ukraińskim ustawodawstwem stolica cieszy się wyjątkowym statusem. Ma nie tylko mera, ale i szefa Kijowskiej Miejskiej Administracji Państwowej (KMDA), organu wykonawczego rady miejskiej podporządkowanego bezpośrednio krajowym organom władzy. Pierwszego wybierają mieszkańcy, drugiego zaś mianuje prezydent. Dokładnie 20 lat temu ukraiński Trybunał Konstytucyjny orzekł, że oba stanowiska powinna piastować jedna osoba – wybrany mer.

Po marszu o zwycięską prezydenturę kraju Zełenski chciał oddzielenia stanowiska szefa KMDA od mera, co by oznaczało, że władza wykonawcza faktycznie należałaby bezpośrednio do jego nominata, a mer byłby bezzębnym figurantem. Pojawiły się oskarżenia ze strony ludzi prezydenta, że próbowano ich przekupić, aby Kliczko nadal był szefem KMDA. Zarzucono władzom miasta, że dały się skorumpować inwestorom i deweloperom.

Kiedy w 2020 r. prezydencka partia Sługa Ludu dostała w dupę w wyborach na merów w kluczowych miastach – przegrywając z bonzami, popieranymi przez lokalne elity biznesowo-polityczne – to właśnie „samorządowcy” znaleźli się na cenzurowanym. Tym bardziej że w głowach merów

zaczął kiełkować plan, aby stworzyć nową partię ogólnokrajową, swoisty sojusz regionalnych klanów, która odebrałaby w kolejnych wyborach władzę ludziom Zełenskigo. Kliczko, jako szef Związku Miast Ukrainy, stał po stronie nękanych przez administrację prezydencką merów mających większe ambicje.

Jak czytamy w analizie Konstantina Skorkina sprzed miesiąca, napisanej dla amerykańskiego think tanku Carnegie Endowment for International Peace, ukraiński rząd zawsze może usprawiedliwić krucjatę przeciwko władzom lokalnym względami antykorupcyjnymi i koniecznością zapobieżenia sytuacji, w której zachodnia pomoc trafia do kieszeni lokalnych klanów.

Skorkin stwierdza wprost:

„Odróżnienie kampanii antykorupcyjnych od prześladowań politycznych na Ukrainie zawsze było trudne i nawet inwazja Rosji tego nie zmieniła. Niedawne aresztowanie jednego z najbardziej wpływowych polityków regionalnych w kraju, burmistrza Odessy Gienadija Truchanowa, jest

najnowszym epizodem w głośnej serii postępowań sądowych wszczętych przeciwko ukraińskiemu merom, które trwają pomimo wojkowego zamrożenia życia politycznego”.

Oczywiście prawdą jest, że co do zasady lokalne elity na Ukrainie są siedliskiem złodziejstwa i łapówkarstwa. Niemniej jednak może niepokoić wykorzystywanie stanu wojennego do pozbywania się przez Zełenskigo i jego partię niewygodnych ludzi. Bo smutna prawda może być taka, że aby uniknąć krucjaty antykorupcyjnej, trzeba popierać prezydenta, a wtedy (twierdzą przeciwnicy rządu) można spokojnie śnąć.

ZUZANNA JURCZYŃSKA

Kot trojański

Kochasz zwierzęta? Uważaj! Miły futrzak może być w rzeczywistości groźnym szpiegiem.

Mówi się, że w miłości jak na wojnie wszystkie chwytby są dozwolone. O ile z tym pierwszym w czasach po #metoo można polemizować, o tyle z drugim już nie sposób. Wyobraźnia wojskowych nie zna bowiem granic ani moralnych, ani prawnych. Kiedyś uczyła nas tego historia, dzisiaj pomysłowość walczących ze sobą krajów możemy podziwiać na własne oczy, no prawie na własne – bo w internecie.

Podczas gdy wzrok większości zwrócony jest w stronę niebios, z jednej strony przecinanych przez gubiące się w polskich lasach sześciometrowe rosyjskie rakiety zdolne do przenoszenia ładunków nuklearnych, z drugiej zaś niespiesznie dryfujące chińskie balony szpiegowskie, pod koniec maja o uwagę upomnieli się morskie głębiny. U południowych wybrzeży Szwecji, w Kungshamn pojawił się bowiem nadzwyczaj przyjacielski młody samiec białuchy arktycznej. Ponieważ zjawisko takie jest niezwykle rzadkie, prawdopodobnie jest to nie kto inny jak ekszpieg rosyjski Hvaldimir.

Delfin szpieguje i rozminowuje

Po raz pierwszy ujawnił się on w kwietniu 2019 r. na północy Norwegii w miasteczku Hammerstroem, gdzie spragniony towarzystwa podpiął do miejscowych rybaków. Pochodzenie niczego nieświadomej wesołej białuchy zdradziły wtedy szelki z napisem „St. Petersburg”. Mimo szemranej przeszłości walenia miejscowi przyjęli go z otwartymi ramionami i nazwali połączeniem słów „Hval”, czyli po norwesku „wieloryb”, i imienia Vladimir, czyli wiadomo. Aby ochronić ukochanego walenia, norweska filmowczyni Regina Crosby założyła organizację non profit One Whale, której głównym celem jest stworzenie rezerwatu dla walenia w wybrzeży Hammerstroem. Losy walenia są bowiem niepewne. Z jednej strony zagrażają mu łodzie, z drugiej – nieznaną umiaru półmózgdy turyści, którzy zaczęli masowo najeżdżać miasteczko, aby ponurkować z białuchą, dotknąć jej, zrobić zdjęcie czy budzić, gdy śpi, żeby porobiła sztuczki. Kto wie, być może dlatek Hvaldimir uciekł do Szwecji? Cóż, mógł skończyć gorzej.

Wracając do pierwotnej misji Hvaldimira: białucha arktyczna w roli szpiega być może wydaje się pomysłem ekscentrycznym, ale wykorzystywanie ssaków morskich w wojsku nie jest niczym nowym. W XX w. pierwsi na taki pomysł wpadli prawdopodobnie Szwedzi. W 1941 r. na wyspie Gällö utworzono specjalistyczną jednostkę szwedzkiej marynarki wojennej zajmującą się szkoleniem fok szarych, których zadaniem było wykrywanie podwodnych min, statków, torped czy pocisków zagubionego sprzętu. Pomysł na początku lat 60. podchwyciły USA i ZSRR. Najbardziej znanym i kontynuowanym po dziś dzień programem szkoleniowym ssaków morskich jest program marynarki wojennej Stanów Zjednoczonych NMMP (Navy Marine Mammal Program), który w 1962 r. w celu weryfikacji zdolności bojowych zwierząt morskich wziął na warsztat aż 20 gatunków. Najbardziej przydatne okazały się delfiny butlonose i ucharki kalifornijskie. Baza programu NMMP znajduje się w San Diego w Kalifornii, w dzielnicy Point Loma. Aktualnie w bazie przebywa około 70 delfinów. Bojowe delfiny i lwy morskie (inna nazwa uchatek) Amerykanie wykorzystywali między innymi w latach 70. w Wietnamie, w 1987 r. podczas konfliktu w Zatoce Perskiej czy w 2003 r. do jej rozminowywania. Zwierzęta szkolone są – podobnie jak psy – metodami pozytywnymi, czyli na zasadzie „odkryjesz minę podwodną, dostaniesz rybkę”. Swoje bojowe delfiny ma także Putin. Pamiętając czasy ZSRR wojskowe oceanarium znajduje się bowiem na przejętym przez Rosjan Krymie, w Sewastopolu. Według zdjęć satelitarnych z 2018 r. część rosyjskich tresowanych delfinów znajduje się także w ich syryjskiej bazie w porcie Tartus.

Osył bojowe

Patrząc wstecz, większość historii zwierząt wykorzystywanych w wojnach nie miała tak szczęśliwego zakończenia jak historia amerykańskich delfinów bojowych

czy zabłąkanego Hvaldimira. Znany wszystkim niedźwiedź Wojtek, biorący udział w bitwie pod Monte Cassino, skończył w złych warunkach w 10-metrowej klatce w szkockim zoo. Używane podczas II wojny światowej psy przeciwpancerne trenowane do wbiegania pod czołgi z ładunkami wybuchowymi na plecach umierały detonowane lub przejechane. Przejebane miały również konie, wielbłądy, osły czy masowo ginące w konfliktach gołębie. Choć na mniejszą skalę przerabane mają do dziś – ostatni przypadek użycia osła jako chodzącego ładunku wybuchowego odnotowano w 2014 r. w Gazie.

Jeżeli ktoś ma ochotę zepsuć sobie humor, może zaznajomić się z trudnym losem Bogu ducha winnych zwierzątek podczas konfliktów zbrojnych. Opowiada o tym artystka wizualna Marta Bogdańska w wydanej w 2021 r. książce „Shifters / Zmiennekstałne”, w której zebrła fotografie zwierząt wykorzystywanych przez wojsko i służby wywiadowcze. Pojawiają się w niej wiewiórki, jaszczurki, nietoperze, sępy, gołębie, szczury, kangury, konie, psy w maskach gazowych i inne straszne rzeczy, o których się fizjologom nie śniło. Polecam.

Akustyczny kotek à la PiS

Podjęte jest więc wszystko, co w wodzie, na lądzie i na niebie. Wszystkie chwytby dozwolone. Najwięcej teorii spiskowych dotyczących zwierząt szpiegów dotyczy Izraela. W 2013 r. w Turcji znaleziono martwą żołniew (ptaszka wielkości ok.

30 cm) z izraelską opaską przy nóżce. W 2012 r. – pustulkę z takąż opaską. W Sudanie o szpiegowanie na rzecz Izraela posądzono sępa, a w Libanie – orla. W 2010 r. po mrozących krew w żyłach atakach rekinów na turystów w egipskim kurorcie Sharm el-Sheikh stwierdzono, że nadajnik GPS przyklejony do jednego z rekinów był w rzeczywistości urządzeniem naprowadzającym. Oczywiście izraelskim. Na zarzuty gubernatora Synaju Południowego Mohammada Shoushy, jakoby Mossad specjalnie wpuścił do morza rekiny ludojady, ministerstwo spraw zagranicznych Izraela odpowiedziało krótko: Shousha obejrzał „»Szczęśliwie o jeden raz za dużo”.

Być może Izrael nie wykorzystał rekinów ludojadów do ataku na turystów w Egipcie,

jednak patrząc na całość działań wojska i służb wywiadowczych oraz ich popaprane pomysły wykorzystywania zwierząt, niczego nie można wykluczyć w stu procentach.

A co z Polską? Według oficjalnych informacji na etatach w polskiej armii służą obecnie konie i psy, dorywczo wykorzystuje się natomiast cywilne sokoły. Czyli nuda.

Wracając do historycznych ciekawostek, w latach 60. CIA prowadziło ciekawy program pod nazwą „Akustyczny kotek”. Kotu wszczepiano pod skórę nadajnik i mikrofon, wzdłuż kregosłupa zaś antenę. Całkowite koszty treningu i interwencji chirurgicznych były ogromne. Prace przerywano, ponieważ pierwszego wypuszczonego na przespiegi kota przejechała taksówka. Tak przynajmniej głoszą legendy. Technika poszła jednak do przodu, wszystko się zminiaturyzowało. Zwierzętom praktycznie bezboleśnie wszczepia się czipy.

Niczego nie sugeruję, ale PiS ma jakąś wersję Pegasus i nie zawaha się go użyć. A chyba wszyscy doskonale wiemy, kto w Polsce jest największym wielbicielem kotów.

MAGDALENA RZEJAK

Starcie wagi ciężkiej: Wołodymyr Zełenski kontra Witalij Kliczko.

Aż do nokautu

Myliłby się ten, kto by sądził, że kiedy naród staje w obliczu agresji na swoje terytorium, to przy konieczności obrony kraju nikną wszystkie wewnętrzne spory polityczne. Wojna jest jednak doskonałą okazją, aby czołowi gracze umocnili swoją pozycję na arenie politycznej. Sytuacja na Ukrainie jest tego najświeższym i bardzo dobitnym przykładem. Prezydent Wołodymyr Zełenski robi wszystko, aby zdyskredytować, a najlepiej pozbyć się rozpoznawalnego międzynarodowo mera

Kijowa, byłego mistrza świata wagi ciężkiej w boksie Witalija Kliczki.

Obaj panowie od lat niespecjalnie się lubią, a Wołodymyr pamięta Witkowi, że ten drugi współpracował z poprzednim prezydentem Ukrainy Petrem Poroszenką. Ten pierwszy widzi w nim potencjalnego kontrkandydata w swych staraniach o reelekcję. Wykorzystuje zatem wszelkie dostępne narzędzia, aby go zneutralizować.

Zła energia

Kiedy w listopadzie 2022 r. armia rosyjska zaczęła atakować raketami elektrownie i sieci energetyczne, aby Ukraińcy zamarzli w trakcie zimy, skończyły się bajeczki o jedności narodowej.

W udramatyzowanym (pamiętajmy, że Zełenski przez lata był zawodowym aktorem!) nocnym przemówieniu prezydent opisał, jak większość regionów w kraju doświadczyła przerw w dostawie prądu na dużą skalę. I dodał, że niektóre z „największych problemów” dotknęły stolicę. „Wiem, że niestety nie we wszystkich miastach władze lokalne wykonały dobrą robotę. W szczególności w Kijowie jest wiele skarg. Proszę o uwagę. Mieszkańcy Kijowa potrzebują większej ochrony” – mówił prezydent.

Zełenski zasugerował, że były bokser nie wspiera dostatecznie ludności stolicy, że wiele osób nie miało prądu przez 20, a nawet 30 godzin, podczas gdy on oczekuje od niego „wysokiej jakości pracy”.

Kliczko dostało się również za brak schronisk awaryjnych, czyli miejsc dostępu do prądu, ogrzewania, dystrybucji żywności i wody (zwanych w ukraińskiej propagandzie „punktami niezłomności”) w mieście. Zełenski uderzył w patetyczne tony: „Nikt nie wybaczysz nikomu bezczeszczenia kijowskich punktów niezłomności, a także kłamstw w raportach na różnych szczeblach”.

Kliczko zastosował unik, mówiąc, że jakiegokolwiek spory w obliczu rosyjskiej agresji są „bezsensowne”. Dodał, że 460 „punktów niezłomności” sprawnie funkcjonuje w Kijowie, a 100 kolejnych będzie funkcjonowało w wypadku nasilenia się problemów. Napisał na swoim kanale na Telegramie: „Nie chcę angażować się w polityczne bitwy, zwłaszcza w obecnej sytuacji. To bezcelowe. Mam coś do zrobienia. Ale zauważam, że nie ma potrzeby manipulować. Wygląda to, delikatnie mówiąc, brzydko. Zarówno dla Ukraińców, jak i naszych zagranicznych partnerów”.

Kiedy członkowie ugrupowania prezydenckiego sprawdzili stan faktyczny, okazało się, że Kliczko nie kłamał. Zełenski czekał więc na kolejną okazję, aby uderzyć w Kliczkę. Pojawiła się ona całkiem szybko.

Ekologiczna katastrofa

Nie mogąc bezpośrednio bić w Kliczkę, aparat państwa (a konkretnie prokuratura) wziął na cel wieloletniego sojusznika mera i jego zastępcę w administracji miejskiej Petra Pantelejewa. Oskarżono go 31 stycznia 2023 r. o zaniechanie odkażenia terenu byłych zakładów chemicznych Radikał, co doprowadziło do zanieczyszczenia lewobrzeżnej części Kijowa i przyniosło szkody o wartości ponad 1,4 mld dolarów.

Okazało się, że stężenie rtęci w glebie na terenie Radikała nawet kilkudziesięciokrotnie przekraczało dopuszczalne normy, a stężenie tego pierwiastka w powietrzu przy zakładzie przekraczało dopuszczalne limity nawet 145 razy! Administracja Kijowa uznała sprawę przeciwko Pantelejewowi za kolejną próbę politycznego nacisku na władze miasta.

Kliczko bronił się, podkreślając, że usunięto już ponad 300 tys. ton szkodliwych materiałów z dawnego Radikała i sfinansowano projekt bezpiecznego usuwania odpadów z jego terenów. I podkreślał, że władze centralne odmówiły miastu dotacji na usunięcie zanieczyszczeń.

Sprawa jest o tyle skomplikowana, że prywatny właściciel terenu zbankrutował w 2000 r., lecz do dziś nie doprowadzono do szczęśliwego finału prawnej procedury jego likwidacji. Skażony teren trafił pod skrzydła miasta.

Pantelejew należy do grona kilkunastu osób, w większości urzędników związanych z Kliczką, którym postawiono od połowy 2021 r. zarzuty karne: od korupcji i nadużywania władzy przez defraudację publicznych pieniędzy po oszustwa.

Po trupach do celu

Niemal dokładnie miesiąc temu, w nocy 1 czerwca, doszło do tragedii. Trzy osoby, w tym dziewięcioletnia dziewczynka, jej matka i inna dorosła kobieta, zginęły w trakcie nalotu rosyjskiego, gdyż nie udało im się dostać do najbliższego schronu przeciwlotniczego – poniosły śmierć ranione przez fragmenty zestrzelonego pocisku balistycznego.

Ukraińcy – czytamy na stronie internetowej Kyiv Post – totalnie się wkurwili. Bo jak można było doprowadzić do sytuacji, w której po 15 miesiącach zmagania z inwazją schrony są zamknięte? Zaczęło się szukanie winnych, przy czym mało kto starał się rozwiązać problem, a nabrała tempa gra w Czarnego Piotrusia.

Zełenski zapowiedział kontrolę wszystkich stołecznych schronów i dodał, że w jej wyniku „może dojść do nokautu”. Kliczko zła upatrywał w nominacjach na stanowiska w Kijowie ludzi prezydenta

tworzących Kijowską Miejską Administrację Wojuszkową, którzy nie dopilnowali swoich obowiązków. I podkreślał, że ciągłe kontrole, policyjne przeszukania w domach urzędników paraliżują sprawne funkcjonowanie miasta.

21 czerwca szef departamentu bezpieczeństwa kijowskiego magistratu Roman Tkaczuk został objęty aresztem domowym. Zarzucono mu zaniebdanie, które doprowadziło do śmierci trzech osób 1 czerwca. Kliczko znów zaczął mówić o politycznej wendecie, żaden bowiem z podległych Zełenskiemu szefów dzielnic Kijowa nie został oskarżony. Jednak zarządzone przez prezydenta audyt nie wypadł dla mera korzystnie: mniej niż co szósty z 4655 schronów był odpowiednio wyposażony, a sporo poniżej połowy z nich było dostępnych bez żadnych przeszkód.

Kiedy następna runda?

W odróżnieniu od czasów, gdy mer Kijowa walczył na ringu,

w tym starciu politycznej wagi ciężkiej Kliczko głównie się broni i stara się nie denerwować przeciwnika. Poobijany tego, próbuje utrzymać się na nogach. Wie, że w obliczu rosyjskiej inwazji bezpośredni konflikt z bardzo popularnym, kreowanym na bohatera narodowego prezydentem byłby politycznym samobójstwem. Dopóki trwa wojna, Kliczko będzie znosił wszelkie szykany i ataki ze stoickim spokojem, starając się trwać na stanowisku.

Ale wojna nie będzie toczyć się wiecznie. I tu pojawia się szansa na nowe otwarcie. Pamiętajmy, że losy zwycięzców są różne, o czym boleśnie przekonał się Winston Churchill, który po II wojnie światowej przegrał wybory z Partią Pracy. Po prostu ludzie mieli dość jego rządów i postawili na kogoś innego.

Raz po raz komentatorzy mianują Kliczkę kandydatem na ukraińskiego prezydenta w kolejnych wyborach. Były bokser ani tego nie potwierdza, ani temu nie zaprzecza. Mówi jednak, że chce uczynić Kijów europejskim miastem. Nie wykluczył jednak takiego ruchu, lecz podkreślił, że dotychczas z nikim nie rozmawiał o swej ewentualnej kandydaturze. Wszystkim, którzy go do tego namawiają, byłby bokser – jak sam zapewnia – odpowiada: „Co ja ci złego zrobiłem?”.

Jeśli mer Kijowa przetrzyma ataki prezydenta i nie da się wsadzić do więzienia ani całkowicie zdyskredytować, to może być poważnym kontrkandydatem Zełenskiego, który rozsmakował się już w niekontrolowanej przez nikogo władzy...

KATARZYNA KOENIG

REKLAMA

TRYBUNA
Wiemy lepiej!

W numerze:

Michał Piękoś
Izabela Szolc
Zuzanna Dąbrowska
Jerzy J. Wiatr
Xavier Woliński
Piotr Ikonowicz
Tomasz Miłkowski
Tadeusz Klementewicz
Jarek Ważny
Piotr Gadzinowski

**W Twoim kiosku nie ma Trybuny?
Poproś sprzedawcę, niech ją zamówi**



www.trybuna.info

**Dr hab. Jacek Haman
Wybory 2023: które głosy
pójdą do piachu?**

Rolnicy nie wierzą Telusowi

**Polska piłka – tego nie da się
wytłumaczyć**

**Na ciebie szkoda kulki –
upowska czystka w Pustomytach**

tygodnikprzeglad.pl



Bolonia to ładne miasto z pięknymi wieżami i czerwonymi murami. Podają tam pyszne spaghetti z mięsem i w ogóle jest tam miło. Nic dziwnego, że to właśnie tam wysłannicy 29 krajów w roku 1999 podpisali deklarację, która zapoczątkowała tworzenie czegoś, co się nazywa Europejskim Obszarem Szkolnictwa Wyższego. Inicjatywa należała w dużej mierze do Komisji Europejskiej, lecz jej zakres jest światowy, a na jej rzecz pracuje wiele instytucji europejskich i globalnych z Radą Europy oraz UNESCO na czele. Obecnie w tzw. procesie bolońskim, zmierzającym do ujednolicenia standardów kształcenia wyższego w Europie i w zainteresowanych krajach na innych kontynentach, uczestniczy ponad 40 państw. Jest wśród nich Turcja, lecz nie ma USA. Co do Rosji, to z powodu wojny sprawa jest niejasna. Za to na przykład Kazachstan – jak najbardziej tak. Procesowi bolońskiemu towarzyszą dwa satelickie procesy organizacyjne: jeden zmierzający do jak najszybszego wzajemnego uznawania dyplomów ukończenia studiów przez uczelnie i pracodawców w państwach Europy i świata, a drugi – do zwiększenia mobilności studentów i pracowników naukowych, czyli propagujący stypendia wyjazdowe dla studentów i naukowców.

Za procesem bolońskim stoi niebywale skomplikowana biurokracja. Szkoda czasu i miejsca na jej opisywanie. Najważniejsze są z grubsza coroczne spotkania ministrów nauki oraz bieżąca praca organizacyjna kilku instytucji, wśród których wyróżnia się Europejskie Stowarzyszenie Uniwersytetów. I o co w tym wszystkim chodzi? W największym skrócie chodzi o to, aby we wszystkich krajach uczestniczących w tym systemie na podobnych kierunkach studiów uczono podobnych rzeczy w podobny sposób. Dzięki temu możliwe jest wzajemne uznawanie dyplomów (uregulowane tzw. konwencją lizbońską, od 2012 r. obejmującą 47 krajów, łącznie z Nową Zelandią) oraz wymiana akademicka, której najbardziej znanym programem jest Erasmus.

Na punkty

Z praktycznego punktu widzenia proces boloński to przede wszystkim trójstopniowy układ studiów oraz powiązanie każdego przedmiotu z konkretnymi wymaganiami programowymi, analogicznymi i porównywalnymi we wszystkich krajach uczestniczących w projekcie, a także przypisanie do każdego przedmiotu określonej liczby punktów ECTS (Europejski System Transferu Punktów). W Polsce kolejne etapy studiów to licencjat (trzy lata), tzw. uzupełniające studia magisterskie (dwa lata; w odróżnieniu od jednolitych pięcioletnich studiów magisterskich, które pozostawiono na kilku kierunkach) oraz studia dokto-

Bolonia to pryszcz

Troski i zmartwienia akademickiego belfra w obliczu Europejskiego Obszaru Szkolnictwa Wyższego.

ranckie, kończące się doktoratem. Na tym ostatnim etapie nie funkcjonuje już system punktów ECTS.

Studia składają się z tzw. kursów, kończących się zaliczeniem lub egzaminem. Kurs może być wykładem, serią ćwiczeń lub seminariów albo kombinacją różnego typu zajęć. W zależności od liczby godzin i trudności kursowi przypisane są różne kwoty punktowe. Każdy kurs opisany jest za pomocą sylabusu, czyli metryczki, która informuje o jego treści, zalecanych lekturach, sposobach sprawdzania wiedzy i zaliczania przedmiotu, a także o elementach wiedzy i umiejętnościach, które ma posiadać student. I tak na przykład kurs w ramach studiów kosmetycznych zatytułowany „Pielęgnacja skóry twarzy” może zawierać wśród treści programowych coś takiego jak technika i metodyka wyciskania pryszczu. W sylabusie będzie więc napisane w rubryce „Wiedza”: „rodzaje zmian skórnych i techniki manualne ich usuwania”, w rubryce „Umiejętności”: „student umie usunąć ropną zmianę skórną metodą wyciskową”, a w rubryce „Kompetencje społeczne”: „student potrafi zachować delikatność i dyskrecję w stosunku do klienta, któremu usuwa zmianę skórną w obrębie twarzy”. A na końcu studiów świeżo upieczony absolwent otrzyma dyplom zaopatrzone w stosowny suplement, gdzie jak byk będzie napisane – w mowie barbarzyńskiej oraz po angielsku – że umie wyciskać pryszcze. Z takim zaś glejtem może wyciskać pryszcze do upojenia od zimnego Atlantyku aż po Morze Egejskie, a jak dobrze pójdzie, to nawet Ocean Indyjski.

Oderwane od realiów

Nie można zaprzeczyć, że proces boloński ma wiele zalet. Zwłaszcza dla studenta. Wyrównuje szanse pomiędzy małymi i dużymi ośrodkami, bo dyplomy mają porównywalną (przynajmniej formalnie) wagę; daje możliwości zapisywania się na studia w różnych krajach i studiowania na kilku uczelniach po kolei; pozwala profilować studia pod własne potrzeby i zainteresowania (studia magisterskie można odbywać na innym kierunku niż licencjackie), a także kończyć edukację wcześniej lub później, zależnie od własnych preferencji i uzdolnień. Można nawet powiedzieć, że system na tyle się sprawdził, że na pewno nie



odejdziemy od niego w przewidywalnej przyszłości. Możliwe są co najwyżej pewne korekty.

Mimo to, jak każdy wielki system biurokratyczny i centralistyczny, proces boloński ma wiele wad. Największą z nich jest gigantyczna biurokracja związana z nieustannym sprawdzaniem przez rozmaite komisje akredytacyjne, czy dany wydział prowadzi studia zgodnie z przyjętymi normami. Papiery są obeszłate i coraz bardziej oderwane od realiów. Im więcej jest tej kontroli jakości kształcenia, sprawozdawczości, nieustannego poprawiania programów studiów i sylabusów celem dopasowania do niezliczonych norm, ram kwalifikacji, wymogów ministerialnych itp., tym mniej ochoty i sił do prowadzenia porządnego

wykładów oraz chęci na swobodne, niewymuszone interakcje ze studentami. Na uczelniach porobiło się jak w szkołach – papiery, zebrania, wypełnianie ankiet, hospitacje, komisje i nie wiadomo co jeszcze. A wszystko po to, aby zadowolić Bolonię, zapunktować w ministerstwie (dzięki czemu wydział dostaje wyższą dotację) oraz usatysfakcjonować studentów, którzy będą zachęcać młodsze roczniki do podejmowania studiów właśnie u nas, a nie u konkurencji. Inaczej mówiąc, narasta podwójna presja: biurokratyczna i rynkowa. Trzeba mieć porządek w papierach oraz w taki sposób prowadzić studia, aby studenci byli zadowoleni. A będą zadowoleni, gdy spełni się dwa sprzeczne ze sobą wymogi, to znaczy studia będą łatwe i przyjem-

ne oraz porządnie przygotowujące do zawodu.

Pod presją

Z punktu widzenia belfra teraz wszystko wygląda gorzej. Doskwierają nam presja biurokratyczna, nadmierna kontrola, lęk przed złą oceną ze strony przełożonych oraz studentów. A wynikiem tego lęku jest nadmierna ostrożność w prowadzeniu zajęć, unikanie trudnych kwestii i tematów, niedawanie prawie nikomu dwójek (bo może się zemścić w anonimowej ankiecie), kurczowe trzymanie się zasad poprawności politycznej, a wreszcie zniechęcenie do zawodu i wypalenie. Niestety, tak to wygląda.

Na całe szczęście cały ten proces boloński nie jest aż tak totalny i wszechogarniający, jaki w założeniu miał być. Mimo że wytwarza presję, to jednak na uczelniach panuje milcząca umowa, że będzie się traktować wszystkie te w założeniu może słuszne, choć w praktyce często durne i bałamutne procedury ujednolicania i monitorowania procesu kształcenia jako proces czysto biurokratyczny, czyli dziejący się głównie na papierze (a ściślej: w komputerze).

Ma się zgadzać w papierach, a co tam się dzieje w sali wykładowej, to już inna sprawa. W sylabusach wypisuje się różne cuda i głupoty, lecz mało kto je czyta.

Jeśli trzeba zrobić hospitację zajęć prowadzonych przez podwładnego, to się go o tym zawiadamia, aby mógł przygotować lekcję iście pokazową. Natomiast słaba uczelnia, jak była słaba, tak słaba pozostała, pomimo całej tej dumnej i groźnej papierologii, dobra zaś uczelnia nadal jest dobra.

Poziom studiów nie wzrasta, bo tak krawiec kraje, jak mu materii staje. Skoro studiuje połowa młodych ludzi, to siłą rzeczy, wykładając, trzeba się dopasować do inteligencji nader przeciętnej, a przecież szkoła też nie pomaga.

Większość przychodzących na studia absolwentów szkół średnich właściwie umie tylko trochę czytać i pisać oraz dodawać i odejmować do stu. Wszystko więc zaczyna się praktycznie od zera.

Jeszcze tak nie było na świecie, aby urzędnicy swoimi pięknymi planami i papierami zmienili świat na lepsze. Bolońska urawniłowka na razie jest w większym stopniu fikcją niż realną zmianą jakościową. W nieco zakamuflowanym założeniu tego wielkiego projektu lepsi mieli podawać rękę słabszym, a jakość kształcenia miała się powoli wyrównywać pomiędzy krajami i poszczególnymi ośrodkami. Daleko jeszcze do tego, lecz przecież mamy czas. Ostatnio martwi nas zupełnie co innego niż stary, analogowy i oswojony już proces boloński. Martwi nas inwazja sztucznej inteligencji w edukacji oraz filmiki z internetu, które uczą lepiej niż my. Na szczęście mam już bliżej niż dalej do emerytury!

JAN HARTMAN

Kto rządzi Uniwersytetem Wrocławskim.

Jajogłowy Kaczyńskiego

Rektor Uniwersytetu Wrocławskiego prof. Robert Olkiewicz stał się „gwiazdą” na gali Nagrody Viadriny. To prestiżowe wyróżnienie, przyznawane przez uniwersytet z Frankfurtu nad Odrą, przypadło w tym roku prof. Krzysztofowi Ruchniewiczowi, dyrektorowi Centrum Studiów Niemieckich i Europejskich im. Willy’ego Brandta Uniwersytetu Wrocławskiego.

Laudację na cześć prof. Ruchniewicza wygłosił Basil Kerski, szef Europejskiego Centrum Solidarności w Gdańsku, który nie gryzł się w język. Kerski nie tylko mówił o wrocławskim uczonym, ale także o aktualnej sytuacji w Polsce. Krytykował rządu PiS, zamach na demokrację, sądownictwo, ostrzegał przed zagrożeniem dla uczciwych wyborów i próbami wyeliminowania Donalda Tuska z życia politycznego.

Przemówienie Kerskiego musiało bardzo nie spodobać się Olkiewiczowi, który po kilku minutach wstał i wyszedł z gali. O skandalu napisał niemiecki dziennik „Märkische Oderzeitung”, zdumienie zachowaniem Olkiewicza na Viadrinie było ogromne. Nas takie zachowanie rektora wcale nie dziwi, gdyż jest wiernym wyznawcą ideologii PiS.

Olkiewicz rektorem UWr jest od czerwca 2022 r. Zastąpił na tym stanowisku prof. Przemysława Wiszewskiego, który został odwołany

ny w trakcie trwania kadencji przez ministra Przemysława Czarnka po donosie związków zawodowych. Skonfliktowani z rektorem „sygnaliści” wykryli, że mógł on złamać prawo, gdyż podjął dodatkowe zajęcia zarobkowe bez zgody rady uczelni. Tym dodatkowym zajęciem zarobkowym była praca (w 2020 r.) przy projektach badawczych, które przyznane zostały Wiszewskiemu, jeszcze zanim został rektorem. Rada uczelni wydała stosowną zgodę, ale dopiero w 2021 r.

Dla Czarnka donos okazał się darem niebios. Wiszewski bowiem podpadł mu m.in. jesienią 2020 r., gdy dał studentom godzinny rektorskie, żeby mogli uczestniczyć w proteście Strajku Kobiet, i uruchomił pomoc prawną dla uczestników demonstracji. W odwecie Czarnek zagroził uniwersytetowi obcięciem funduszy.

Usunięcie rektora wywołało oburzenie środowiska akademickiego. Senat UWr zaprotestował przeciwko decyzji ministra, a uczelnia wysłała do sądu administracyjnego skargę dotyczącą zasadności odwołania Wiszewskiego.

Olkiewicz po objęciu stołka rektora natychmiast kazał wycofać skargę z sądu i zadeklarował pełne wsparcie dla rządu PiS, ministra

Czarnka i wiarę w jego szacunek dla prawa. Zaznaczył też, że wygaszenia mandatu poprzednika nie odczytuje „jako politycznej ingerencji w autonomię naszej Uczelni”.

Serwilizm okazał się bardzo opłacalny. Jedną z pierwszych decyzji nowego rektora było zwrócenie się do premiera Mateusza Morawieckiego o 80 mln zł na rozpoczęcie prac przy budowie Centrum Badań Fizycznych i Chemicznych Uniwersytetu Wrocławskiego im. Kornela Morawieckiego. Rozmach inwestycji (która pochłonie 800 mln zł) jest imponujący. Centrum będzie się składać z dwóch sąsiadujących budynków o łącznej powierzchni użytkowej ok. 50 tys. mkw., w których znajdą swoje miejsce Instytut Fizyki Doświadczalnej, Instytut Fizyki Teoretycznej, Dziekanat Wydziału Fizyki i Astronomii oraz Wydział Chemii.

Zaskakujące jest to, że rząd przeznacza gigantyczne pieniądze na budowę centrum imienia tatusia premiera, który nie miał żadnego dorobku naukowego (choć z uniwersytetem związani byli wybitni fizycy, nobliści jak Max Born czy Otto Stern), a fizyka i chemia dostały najniższą na UWr kategorię naukową B+.

Przyznanie takiego wyróżnienia staremu Morawieckiemu nie ma oczywiście nic

wspólnego z nauką, ale z prowadzoną oficjalnie przez rząd PiS polityką kultu zmarłego w 2019 r. ojca premiera (w całej Polsce odsłaniane są tablice i obeliski ku czci Morawieckiego).

Olkiewicz, który jest współpracownikiem Opus Dei, słynie też z nachalnego manifestowania swojej religijności. W kwietniu 2023 r. wspólnie z europosłanką Beatą Kempą w kościele pw. św. Maksymiliana Marii Kolbego na wrocławskim Gądowie bronił dobrego imienia Jana Pawła II. Panel dyskusyjny był odpowiedzią na reportaż TVN „Franciszkańska 3”, w którym ujawniono dokumenty i relacje świadków mówiące o tym, że Wojtyła wiedział o skandalach pedofilskich w Kościele i przykładał rękę do ich tuszowania. Przekaz Kempy i Olkiewicza był następujący: Jan Paweł II to autorytet, a za atakiem na niego stoją SB i szatan.

Po obronie dobrego imienia Wojtyły Olkiewicz udał się w nocy przed pomnik JP2, by chronić go przed atakiem komunistów, LGBT, liberałów i wyznawców złego. Skąd taki pomysł? Jedna z parafianek usłyszała przypadkiem rozmowę kilku mężczyzn, którzy pili piwo na ławce przed blokiem, o zniszczeniu pomnika papieża. Nikt na szczęście nie zamachnął się na wizerunek świętego, ale wyziębiony Olkiewicz musiał odespać zarwaną noc.

ANDRZEJ SIKORSKI
nie@redakcja.nie.com.pl

Igrzyska europejskie jeszcze się nie zakończyły, a ja już piszę o nich źle.

Sasinada



ILUSTRACJA: KRZYSZTOF OLEJNIK

O tej imprezie pisałem już źle równo cztery lata temu, gdy podczas posiedzenia Europejskiego Komitetu Olimpijskiego przyznano prawo ich zorganizowania Polsce, to znaczy Krakowowi, bo olimpijscy działacze upierają się, że zawody pod znakiem pięciu kółek organizują nie kraje, lecz miasta. Ma to tyle wspólnego z rzeczywistością, co stwierdzenie, że startują w nich amatorzy.

Gdybym nie wstydził się brać drugi raz honorarium za ten sam tekst, mógłbym przepisać wszystko, co cztery lata temu powiedziałem o tej dziwacznej i niechcianej imprezie, bo wszystko pozostaje aktualne. W największym skrócie: na różnych kontynentach interes kręci się dobrze. Igrzyska Panamerykańskie, Azjatyckie, Afrykańskie oraz Igrzyska Krajów Pacyfiku mają już swoje tradycje i cieszą się w regionach sporym zainteresowaniem, największym chyba w Azji. Tylko ze Starym Kontynentem był kłopot. Trudno znaleźć chętnych do organizowania tak wielkiej imprezy, a jeszcze trudniej namówić zawodników do uczestniczenia w niej. Stowarzyszenie Europejskich Komitetów Olimpijskich w grudniu 2012 r. postanowiło, że – wbrew przeciwnościom – o medale Igrzysk Europejskich będzie się walczyć, czy się to komu podoba, czy nie.

Impreza dyktatorów

Pierwszy chętny do organizacji zgłosił się sam. Azerbejdżan co prawda tylko częściowo leży w Europie, leży za to na złożach gazu i ropy naftowej. Codziennie spod ziemi wypływa w nim tyle gotówki, że można tam organizować wszystko, na co zgodę wyrazi prezydent Ilham Alijew. Mężczyzna ten rządzi krajem twardą ręką, jak większość ludzi z autorytarnymi zapędami ma przy tym sympatyczne słabostki. Jedni lubią koty, inni – wśród nich Alijew – pasjonują się sportem.

Chętny do organizacji II Igrzysk Europejskich także zgłosił się sam – Białoruś. Nasz wschodni sąsiad nie jest tak bogaty jak Azerbejdżan i nie może sobie fundować igrzysk za ponad miliard dolarów. Miał jednak gotowe obiekty, a pokusa, żeby przy pomocy sportu pokazać swój piękny kraj i mieszkających w nim szczęśliwych obywateli była zbyt wielka, aby przepuścić okazję.

Podczas obrad działacze Stowarzyszenia Europejskich Komitetów Olimpijskich w Mińsku jednogłośnie na miejsce kolejnej imprezy w 2023 r. wybrano Kraków, innych kandydatów zresztą nie było. Po co Polska zgłosiła się do organizowania niechcianych zawodów? Trochę strach o tym myśleć. Azerbejdżan i Białoruś przyjęły sportowców, bo liczyły na to, że wielka impreza, głosząca piękne hasła, odwróci uwagę od braku demokracji i dyktatorskich rządów w ich krajach. W Polsce rządząca ekipa ma dużo grzechów na sumieniu, takich jak łamanie konstytucji, zawłaszczenie publicznych mediów, ubezwłasnowolnienie sądów. Ale nie jest jeszcze tak źle jak w Azerbejdżanie i na Białorusi. Opozycyjni działacze nie siedzą w więzieniach, czasem zatrzymywani są w aresztach, i to na krótko. TVN wciąż nadaje. Co się jednak stanie, gdy – odpukać – PiS będzie rządził kolejną kadencję?

Rachunki do przejrzenia

Sport to droga zabawka. Ostatnio nawet Arabia Saudyjska ogłosiła, że rezygnuje z ubiegania się o piłkarskie mistrzostwa świata w 2030 r., bo jej na to nie stać. Ile nas kosztują igrzyska europejskie? Na pewno więcej, niż początkowo zakładano. Oficjalnie jeszcze nikt nie policzył kosztów. Mówi się, że to kwota ponad 2 mld zł, ale mieszczą się w niej także wydatki na infrastrukturę. Sama organizacja zawodów to blisko pół miliarda złotych, a od Europejskiego Komitetu Olimpijskiego trzeba było wy-

kupić licencję za 160 mln zł. Nie można niestety zapominać, że wielkie sportowe imprezy stanowią znakomitą okazję do korupcji i nadużyć finansowych. Tak było niemal wszędzie, a najróżniejsze przekręty osiągnęły gigantyczne rozmiary podczas Zimowych Igrzysk Olimpijskich w Soczi w 2014 r. Mieszkiałem wówczas w Rosji i z podziwem czytałem, ile może kosztować kilometr nowej szosy czy zaplecze techniczne poszczególnych dyscyplin.

Nie twierdzę, że dochodzi do korupcji przy organizacji igrzysk europejskich w Krakowie i Małopolsce. Ale jeśli czytamy w krakowskiej prasie, że na sam znicz przeznaczono 1,4 mln zł, a rozmieszczone w mieście zegary odliczające czas do rozpoczęcia imprezy kosztowały ponad 600 tys. zł, to myślę, że ktoś kiedyś przyjrzy się tym wydatkom.

Wpuszczanie w maliny

Lekkoatletyka była zmorą dwóch wcześniejszych igrzysk europejskich. Albo trzeba było rezygnować z tej konkurencji, albo zapraszać juniorów. W Krakowie, a w zasadzie w Chorzowie, bo lekkoatleci startowali na Stadionie Śląskim, pojawiły się gwiazdy. Igrzyska europejskie sprytnie połączono z Drużynowymi Mistrzostwami Europy, or-

ganizowaną od 2009 r. imprezą o dużym prestiżu, kontynuującą tradycję Pucharu Europy.

Na Stadionie Śląskim obowiązkowo stawiła się czołówka Polek i Polaków, nie zabrakło im godnych rywali i rywali. Tyle że nie wszyscy zdawali sobie sprawę, że biorą udział w jakichś igrzyskach europejskich i że ich drużynowe osiągnięcia nagradzane będą indywidualnymi medalami. „Gdybym to wiedział, pobięłbym szybciej” – żartował pewien lekkoatleta.

„Ja też nie wiedziałem, że będą jakieś medale” – przyznał zwycięzca konkursu rzutu młotem Wojciech Nowicki. Nie wiedział również, że ceremonia

dekoracji odbędzie się nie na Stadionie Śląskim w Chorzowie, ale w Krakowie. Żartował, że może po znajomości uda mu się załatwić przesłanie złotego medalu kurierem, żeby nie musiał po niego sam jeździć.

Zamieszania podczas lekkoatletycznych zawodów było więcej. Konkurs pchnięcia kulą kobiet trzeba było w pewnym momencie przerwać i zresetować wyniki ze względu na błędy pomiarów.

Klaudia Kardasz powiedziała wprost, że czuje się oszukana. Na skutek tych problemów straciła w jednym rzucie aż metr.

To nie wszystko.

Największą bolączką zawodów lekkoatletycznych był brak kibiców na trybunach. Pierwszego dnia na stadionie, którego trybuny mogą pomieścić 55 tys. widzów, pojawiła się ich może setka. Dlaczego? Po pierwsze, brak było jakiegokolwiek reklamy, nie mówiąc już o zwykłej informacji. Po drugie, bilety wcale nie były tanie i zabrakło chętnych do płacenia kilkudziesięciu złotych za imprezę, która jest w rzeczywistości zachcianką partii rządzącej.

Kibice nie wiedzieli

Z kibicami w ogóle było cieniutko. Zapowiadając igrzyska europejskie w Krakowie i Małopolsce, reklamowano je jako największą imprezę sezonu na naszym kontynencie, na którą walić będą kibice z wielu krajów, zanoszący później w świat wieści, jak u nas jest fajnie. Tymczasem nawet miejscowi nie bardzo wiedzieli o tym, że odbywa się ta wielka impreza. Chętnych do oglądania rywalizacji sportowców zabrakło na większości aren.

Owszem, były wyjątki. Zawody we wspinałce na czas z udziałem naszej mistrzyni i rekordzistki świata Aleksandry Mirosław, rozgrywane w Tarnowie na ścianie przy Akademii Nauk Stosowanych, przyciągnęły komplet widzów. W dodatku byli oni świadkami sensacji, bo w finale faworytka przegrała z polską rywalką Natalią Kałucką. Po zawodach Aleksandra Mirosław nie robiła z porażki tragedii. Zdawała sobie sprawę, że nie jest w najwyższej formie. Tę szykuje na mistrzostwa świata, które będą także kwalifikacją olimpijską. Nie zmienia to faktu, że przegrana w finale trochę ją zezłościła, bo zdążyła się już odzwyczaić od porażek.

Innej konkurencji rozgrywanej w Tarnowie, plażowej piłce ręcznej, przyglądali się tylko pracownicy ekipy technicznej, czemu trudno się dziwić – promocji nie było żadnej. Może to i dobrze, bo w pewnym momencie oderwał się fragment zadaszenia trybuny głównej. Nic w tym dziwnego. Wiele prac wykonywano w pośpiechu na ostatnią chwilę.

O ile lekkoatletom trudno się biegalo, rzucalo i skakało na ogromnym pustym stadionie, o tyle koszykarze występujący w formule 3×3 musieli się przyzwyczaić do gry przy dopingiu. Obok hali Cracovii, gdzie rozgrywali zawody, było głośno i sympatycznie. W takiej atmosferze Polacy zdobyli brązowy medal i oni na pewno oprócz tychże medali wywiozą z imprezy dobre wspomnienia.

Ciekawe, jakie wspomnienia związane z zawodami i kibicami wyniosą z igrzysk europejskich ich główny organizator, do niedawna wicepremier, dziś już tylko szeregowy minister Jacek Sasin, oraz prezydent naszego pięknego kraju, masekotka Krakowa Andrzej Duda. Na Stadionie Wisły wygwizdano ich, zwłaszcza Sasina, niemiłosiernie. Tyle mieli uciechy ze zorganizowanej za ciężkie pieniądze fety ku czci potęgi kierowanego przez ich partię państwa.

Wiec polityczny

Odpowiedz na pytanie, kto i dlaczego gwizdał na wybitnych przedstawicieli naszego narodu, znalazłem na łamach prawicowego portalu Wpolityce.pl. Inna sprawa, że sprawozdanie z ceremonii otwarcia III Igrzysk Europejskich nie rzucało się w oczy. Odszukałem je dopiero po artykule zatytułowanym „Lekcje masturbacji dla dzieci. Hiszpania »wybitnym« krajem w dziedzinie szaleństw progresywnej edukacji seksualnej”.

Sprawozdanie było rzetelne, spisane według wszelkich reguł wypracowanych przez Wydział Prasy Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Byli więc wymienieni w kolejności rangi oficjalni goście. Przodująca wówczas siła narodu bardzo tego pilnowała. Pułapką na dziennikarzy byli dwaj wysoko postawieni partyjni dostojnicy: tow. Wroński i tow. Gawroński. Pamiętam aferę, jaka wybuchała, gdy pewien dziennikarz pomylił nazwiska tych dwóch działaczy. Tym razem takiego niebezpieczeństwa nie było. Obok prezydenta Andrzeja Dudy nie siedział na trybunie honorowej działacz partyjnej Solidarności Piotr Duda.

Reporter portalu nie omieszkął podkreślić, że otwarcie igrzysk europejskich odbyło się z pełnym olimpijskim ceremoniałem. Nie dodał tylko, że o pełnym ceremoniale mogłaby być mowa, gdyby olimpijską flagę przekazał prezydentowi Krakowa przedstawiciel miasta organizującego poprzednie igrzyska, burmistrz Mińska Władimir Kujarew. Nie odegrano też białoruskiego hymnu.

Relacjonując część artystyczną, czujny dziennikarz niczego nie pominął. Ani Ojca Świętego, ani Marii Skłodowskiej-Curie, ani Józefa Piłsudskiego, ani Lajkonika do spółki ze Stańczykiem. Tylko wspominając nawiązanie do legendy o Lechu, Czechu i Rusie, mógłby sobie darować tego ostatniego.

Ponieważ ceremonii otwarcia igrzysk europejskich transmitowała na żywo państwowa telewizja, nawet w bardzo prawicowym portalu nie dało się przemilczeć faktu, że przemawiający prezydent Duda i minister Sasin zostali wygwizdani i wybucheni przez – jak zaraz dodano – sympatyków opozycji, którzy się nie popisali.

Do całej sytuacji odniósł się na Twitterze sam zainteresowany, czyli wygwizdany minister Sasin: „Grupa politycznych hejterów próbowała zakłócić otwarcie igrzysk europejskich. Wielki organizacyjny sukces Polski wywołał frustrację tych, którzy źle życzą naszej Ojczyźnie. Pomylili sportowe święto z politycznym wiecem. Wstyd!”.

Nie będę ukrywał, że bardzo wstyd mi się zrobiło po tych mądrych i ważnych słowach wygłoszonych przez kogoś, komu do głowy by nie przyszło mylenie sportowego święta z polityką.

WOJCIECH MITTELSTAEDT
wojciech.mittelstaedt@interia.pl



SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY REDAGUJĄ:

Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny,

Waldemar Kuchanny – redaktor naczelny,

Edyta Baker, Małgorzata Daniszewska, Idalia Dubicka, Bożena Dunat, Robert Jaruga, Tadeusz Jasiński, Michał Marszał, Marta Micińska, Maciej Mikołajczyk, Łukasz Piotrowicz, Andrzej Sikorski, Izabela Szolc, Agnieszka Wolk-Laniewska.

Krzysztof Olejnik, Paweł Krokodyl Ferenc (grafika, DTP).

WYDAWCA: „URMA” Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:
00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848-84-48, 22 848-44-20, 22 848-96-68;
tel./fax 22 849-72-47 i 22 849-72-58.

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849-59-38.

INTERNET

www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa.

E-MAIL:

NIE@redakcja.nie.com.pl

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca. Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji. Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK:

Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Poczta Polska – prenumerata krajowa:

Infolinia 801-333-444, dla tel. komórkowych 438420600

www.prenumerata.poczta-polska.pl

„Ruch” S.A. – prenumerata krajowa:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl.

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Telefonicznym Biurem Obsługi Klienta pod numerem: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7⁰⁰–17⁰⁰. (koszt połączenia wg taryfy operatora).

prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę:

Informację o warunkach prenumeraty i sposobie zamawiania można uzyskać pod nr tel. +48 (22) 693 67 75

www.ruch.com.pl

e-mail: prenumerata@ruch.com.pl

Telefoniczne Biuro Obsługi Klienta

(koszt połączenia wg taryfy operatora):

• połączenie z telefonów stacjonarnych 801 800 803

• połączenie z telefonów komórkowych +48 (22) 693 70 00

Dystrybutor: Kanada – Vartex Distributing Inc.,

3135 Universal Dr. Unit # 3 Mississauga, Ont., L4X 2E6 Canada. Tel. (905) 624-4726.0

Sprzedaż elektroniczna:

www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl,

www.eprasa.pl, www.nexto.pl

Numer zamknięto: str. 1–16 – 28.06.2023 r.

SŁÓWKA POŁGŁÓWKA

Tym, którzy zachodzą w głowę, dlaczego Jewgienij Wiktorowicz Prigożyn nie zdołał dokonać puczu w Rosji i zrzucić z tronu słabutkiego Władimira Władimirowicza Putina, z pomocą przychodzi nauka – zwłaszcza genealogia i genetyka. Popatrzmy...

Ojcem Żeni Prigożyna był Wiktor Benjaminowicz, a matką Wioleta Kirowna. Dziadkami ze strony ojca – Benjamin Szaurowicz Prigożyn i Warwara Antonowna Wasulinska-ja.

Ród Wasulinskiich ulokował się na terenie dzisiejszej wschodniej Ukrainy. Anton Wasulinski (pradziadek Jewgienija) miał trzy siostry i czterech braci, z których najmłodszy, Fiodor, w roku 1915 poślubił Katarinę Cezarownę Gaszynę, córkę carskiego oficera Cezara Iwanowicza Gaszyna.

Rodzina Gaszynów zgromadziła niemały majątek na handlu z Turcją w drugiej połowie XIX w. Z wielu źródeł wiadomo, że był to handel nie całkiem uczciwy – z obydwu stron. Tureccy kontrahenci Gaszynów uciekali się do oszustw, kradzieży, a nawet uprowadzeń i grózb pozbawienia życia, a Gaszynowie uchylali się od płacenia podatków.

Gaszynowie chlubili się tym, że pochodzą od bojara Nikity Kasperowicza Barwina, wiernego doradcy i przyjaciela cara Piotra I Romanowa, jednak współcześni rosyjscy genealogowie tego nie potwierdzają: Nikita Barwin zmarł bezpotomnie w roku 1721 w Sankt Petersburgu.

Babką ze strony matki wspomnianej Katariny Cezarowny, czyli żony brata pradziadka Jewgienija Prigożyna, była Anna Dmitrowna Fonowa. Miała siostrę Nataszę, która nieszczęśliwie wyszła za – uwaga! – Aleksandra Baruchowicza Sasjina. Nieszczęśliwie dlatego, że wkrótce po ślubie Aleksander został oskarżony o defraudację funduszy wojskowych, wtrącony do więzienia i stracony. Nataszę powiła syna Lwa, a potem tułała się po Kijowie.

Lew Aleksandrowicz Sasjin jest w prostej linii przodkiem Wojciecha Sasina, tokarza, który jest z kolei ojcem polskiego polityka, do niedawna wicepremiera Jacka Sasina, tego samego, który nie potrafił urządzić wyborów korespondencyjnych w roku 2020, a to, jak potrafił (a raczej nie potrafił) urządzić Igrzyska Europejskie 2023, można oglądać na stadionach południowej Polski.

Jeśli do tej pory ktoś miał wątpliwości, to teraz może ich już nie mieć – w żyłach Jewgienija Prigożyna i Jacka Sasina płynie ta sama krew ponadnarodowych nieudaczników, fuserów, patalachów i niedojdów.

PRZEMYSŁAW CŹWIKLIŃSKI
pcwikla@redakcja.nie.com.pl

GOŚKA DANISZEWSKA

chodzi jak wściekła.

AGNIESZKA WOŁK-

ŁANIEWSKA jest

jak zwykle zadowolona.

Lato, słońce, siłka, snooker

– czego tu nie lubić?

Daniszevska: – Powiedz mi, Wołku, czy było u ciebie jakieś trącenie Żydem?

Wołk-Łaniewska: – Yyyy... A możesz rozwinąć pytanie?

– W twojej bujnej rodzinnej historii?

– Uff, bo myślałam, że pytasz o moje życie erotyczne.

– To też ciekawe.

– Jeśli chodzi o życie erotyczne, to odmawiam odpowiedzi.

– A dlaczego?

– Bo nie chcę być posądzona o antysemityzm.

– Sypianie z Żydami to antysemityzm?

– Nie, ale kwalifikowanie ich w ten sposób może być. Bo skoro walka z rasizmem zmierza do tego, żeby życie publiczne było ślepe na kolor skóry, a feminizm domaga się, żeby nie różniły się prawa kobiet i mężczyzn, to wyindywidualizowanie Żydów wśród kochanków może być potraktowane jako antysemicka stygmatyzacja...

– Coś pierdolisz strasznie.

– To ze strachu. Zarzuty antysemityzmu wykończyły już niejednego lewaka. Przypomnij sobie Jeremiego Corbyna.

– A to kto, bo nie pamiętam?

– No właśnie. Najgenialniejszy lider Labour Party w najnowszej historii. Zajęli go zarzutami o antysemityzm, albowiem opowiadał się przeciwko mordowaniu Palestyńczyków przez Izrael. Mój ulubiony zarzut był taki, że jako szeregowy poseł Corbyn wziął udział w obchodach Dnia Pamięci Holocaustu, gdzie głównym mówcą był ocalały z Holocaustu Hajo Meyer, który źle mówił o Izraelu. „Z wielkim bólem obserwuję podobieństwa między tym, czego doświadczyłem w Niemczech przed 1939 rokiem, i dzisiejszym losem Palestyńczyków” – mówił

85-letni wówczas były więzień Auschwitz, a część sali obrzucała go za to obelgami, do których Corbyn się nie przyłączył, co było dowodem jego antysemityzmu.

– Oj, dobra, przestań już uprawiać tę lewacką propagandę, ja o rodzinie chciałam.

– A jeśli chodzi o rodzinę, to nie wiem, czy była drażnięta Żydem. To znaczy na pewno była – kto nie był? – ale w historii rodzinnej się nie zachowało. Rodzina mojej matki miała historię w nosie, bo była wolna od snobizmu, a rodzina tatusia by się nie przysnała.

– A czemu nie?

– A bo to snoby były. Pamiętam brata dziadka, który wychowywał się jeszcze w majątku, studiował na Oksfordzie, stracił dwa palce u nogi pod Monte Cassino, więc nie musiał pracować, bo miał angielską rentę i był takim łagodnym nawykowym antysemitą, który nawet nie zdawał sobie sprawy z tego, co mówi. Pamiętam jego pogodną opowieść, jak w szkole w Cezarówce była jedna „Żydóweczka”, której chłopcy robili przyjacielskie żarty.

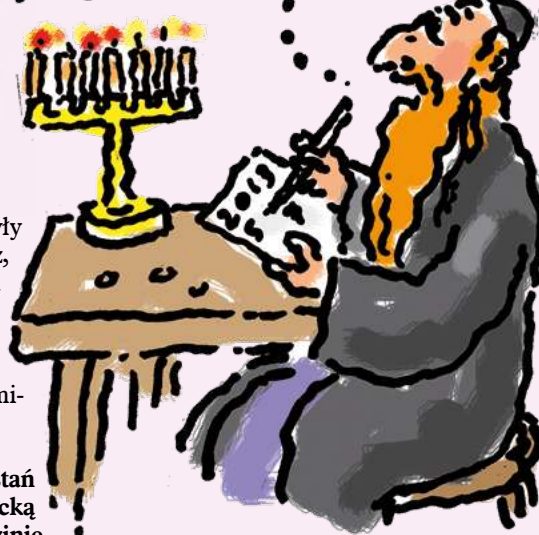
– Na przykład?

– Podchodzili do niej, pociągali

Dialogi dam w drodze do kościoła



Z OBLICZEN
WYNIKA, ŻE
NAJMNIEJ ŻYDÓW
MIESZKA W IZRAELU



umarł, chowano go z czerwonymi sztandarami.

– O, mój pradziadek też był lekarzem, ale chyba nie komunistą. Miał majątek na Dzikich Polach, ale Wielka Socjalistyczna Rewolucja Październikowa zrobiła z nim porządek...

– I widzę, że cię to cieszy?

– Wyobrażasz mnie sobie jako panienkę z dworku?

– No, wyobrażam sobie. A to się uśmiełam... Wracając do rodzinnych Żydów: obfita rodzina stworzyła ciotki warszawianki. Ojciec mi wyznał, że wyglądały nieprzesadnie... Jedną z siostr nawet wywiesiła w witrynie swojego sklepu z nutami na Nowym Świeście kartkę, że jest aryjką. Rzeczywiście, ciotki były podobne do Danka Passenta.

– To byłyby przystojne w męskiej wersji. W żeńskiej trochę gorzej.

– Zwłaszcza że chude nie były. Oczywiście wyłupiaste. Raz na jakiś czas przychodził do panienki dentysta i wycinał im fałdy tuszczu. Trzeba było je dobrze wydać za mąż. Dlatego przenieśli się do mieszkania na Foksal. Dobry adres.

– Bronisława Pierackiego.

– Słucham?

– Foksal przed wojną nazywała się Bronisława Pierackiego na cześć sanacyjnego szefa MSW, którego ukraińscy nacjonaliści rozwalili tam przed Klubem Towarzystw pod numerem trzecim. A po wojnie nazywała się ulicą Jugosłowiańskiej Brygady Pracy, ale tylko do 1951 r., bo Jugosławia wyłamała się z Kominformu...

– Dosyć tej lekcji historii ruchu komunistycznego, o Żydach rozmawiamy.

– Tak w zasadzie to się splata...

– Nie moi Żydzi. Pierwsza prawdziwa Żydówka, którą spotkałam, była jedną z pierwszych klientek ojca. Pani wyemigrowała do Izraela, a on odzyskał jej majątek. Pani zajmowała się hodowlą gęsi i tak została ona rodziną.

– Czyją?

– Naszą. Nie mogła żyć bez Polski. Mówiła, że w Izraelu źle ją traktują. Nie mówiła po hebrajsku, a tylko po polsku i w jidisz. Na poczcie w Tel Awiwie traktowali ją jak psa. Nazywała się Szaraniec. Pamiętam starszą wymęczoną panią, która zasiadała za stołem i robiła placiki cebulaczki. Nigdy nie jadłam tak dobrych... A czy to przypadek, że dwukrotnie wychodziłam za mąż za Żydów?

– To jest pytanie, na które nie znam odpowiedzi.

– Nareszcie!

daniszevska@redakcja.nie.com.pl
awl@redakcja.nie.com.pl

PRZYGODY JARKA NIEZDARKA odc. 254

